RENÉ GOSCINNY

MIKOŁAJEK
I INNE CHŁOPAKI

Przełożyła Barbara Grzegorzewska

SPIS TREŚCI

KLEOFAS MA OKULARY! 3

ŁYK ŚWIEŻEGO POWIETRZA 5

KREDKI 8

NA CAMPINGU 10

MÓWILIŚMY PRZEZ RADIO 12

JADWINIA 15

FILATELISTYKA 18

MAKSENCJUSZ CZARODZIEJ 20

DESZCZ 23

SZACHY 25

LEKARZE 28

NOWA KSIĘGARNIA 31

RUFUS JEST CHORY 34

LEKKOATLECI 37

TAJEMNY SZYFR 39

URODZINY JADWINI 41

KLEOFAS MA OKULARY!

Dziś rano, kiedy Kleofas przyszedł do szkoły, bardzo żeśmy się, zdziwili, bo na nosie miał okulary. Kleofas to dobry kumpel, ale jest najgorszym uczniem w klasie. Podobno dlatego musi nosić okulary. – Pan doktor – wyjaśnił nam Kleofas – powiedział moim rodzicom, ze może dlatego jestem najgorszy, że nie widzę dobrze na lekcjach. Więc zaprowadzili mnie do sklepu z okularami i pan od okularów zajrzał mi w oczy przez taki aparat, którego nie trzeba się bać, bo to nie będzie bolało, i kazał czytać masę liter, co nic nie znaczyły, a potem dal mi okulary i teraz – proszę! nie będę, już najgorszy.

Trochę, mnie zdziwiła ta historia, bo jeżeli Kleofas nie widzi dobrze na lekcjach, to pewno dlatego, że często śpi. Ale może okulary nie dadzą mu spać… Inna sprawa, że najlepszy w klasie jest Ananiasz, jedyny, co nosi okulary, i dlatego nie możemy go lać tak często, jak byśmy chcieli.

Ananiasz nie był zachwycony, kiedy zobaczył. ze Kleofas też ma okulary. Ananiasz jest pupilkiem naszej pani i stale ma pietra, że któryś z chłopaków zajmie jego miejsce, ale myśmy się bardzo ucieszyli, że teraz najlepszym uczniem będzie Kleofas, który jest fajnym kumplem.

– Widziałeś moje okulary? – zapytał Ananiasza Kleofas.

– Teraz ja będę ze wszystkiego najlepszy! Pani będzie mnie posyłała po mapy i będę ścierał tablicę! Tralala!

– O nie, mój drogi! Co to, to nie – powiedział Ananiasz. – Ja jestem najlepszy, i już! A ty nie masz prawa przychodzić do szkoły w okularach!

– Nie mam prawa, no nie, daj spokój! – powiedział Kleofas. – I nie będziesz wiecznie wstrętnym pupilkiem! Tralala!

– Ja też poproszę tatę, żeby mi kupił okulary, i też zostanę najlepszy! – powiedział Rufus.

– Wszyscy poprosimy naszych tatusiów, żeby kupili nam okulary! – zawołał Gotfryd. – I wszyscy będziemy najlepsi, i wszyscy będziemy pupilkami!

No i zrobiła się niesamowita draka, bo Ananiasz zaczął krzyczeć i płakać. Mówił, że to oszukaństwo, że nie mamy prawa być najlepsi, że się poskarży, że nikt go nie kocha, że jest bardzo nieszczęśliwy i że się zabije. Na to przybiegł Rosół, nasz opiekun.

Kiedyś opowiem wam, dlaczego go tak nazywamy.

– Co tu się dzieje? – zawołał Rosół. – Ananiasz! Dlaczego płaczesz?

Spójrz mi w oczy i odpowiadaj!

– Oni wszyscy chcą nosić okulary! – wyjąkał Ananiasz, który dostał okropnej czkawki.

Rosół popatrzył na Ananiasza, popatrzył na nas, potarł dłonią usta i powiedział:

– Spójrzcie mi wszyscy w oczy! Nie będę się starał zrozumieć, o co wam chodzi. Uprzedzam tylko, że jeśli was jeszcze usłyszę, nie ręczę za siebie! Ananiasz, idź i napij się wody, wstrzymując oddech. Reszta chyba mnie zrozumiała!

I odszedł z Ananiaszem, który ciągle miał czkawkę.

– Ty – zapytałem Kleofasa – pożyczysz nam okularów, jak nas będą pytali?

– I na klasówki też! – powiedział Maksencjusz.

– Na klasówkach sam będę ich potrzebował – powiedział Kleofas.

– Przecież jeśli nie będę najlepszy, tata domyśli się, że nie miałem okularów, i będzie chryja, bo on nie lubi, kiedy pożyczam swoje rzeczy. Ale do odpowiedzi – jakoś to załatwimy.

Kleofas to naprawdę fajny kumpel. Pożyczył mi okulary na próbę, ale naprawdę nie wiem, jak mu się uda zostać najlepszym uczniem, bo przez te jego szkła wszystko widać na odwrót, i jak się patrzy na nogi, to wyglądają, jakby były tuż przy twarzy.

Potem dałem okulary Gotfrydowi, Gotfryd Rufusowi. Rufus założył je Joachimowi, Joachim Maksencjuszowi. Maksenejusz rzucił je do Euzebiusza, który nas okropnie rozśmieszył, udając, że ma zeza. Potem chciał je przymierzyć Alcest, ale wtedy zrobiła się draka.

– Ty nie – powiedział Kleofas. – Masz całe ręce w maśle od tych twoich kanapek i zamażesz mi szkła, a przecież nie warto mieć okularów, jeśli nic przez nie nie widać, no a ile się trzeba namęczyć, żeby je oczyścić, i tata nie da mi oglądać telewizji, jeżeli znowu będę najgorszy, tylko dlatego, że jakiś idiota zabrudził mi okulary swoimi tłustymi łapskami pełnymi masła!

Kleofas włożył z powrotem okulary, ale Alcest się rozzłościł.

– Przyłożyć ci tymi tłustymi łapskami pełnymi masła? – zapytał Kleofasa.

– Mnie nie wolno bić! – zaśmiał się Kleofas. – Ja mam okulary!

Tralala!

– To je zdejmij – powiedział Alcest.

– Nie, mój drogi – powiedział Kleofas.

– Ach, ci najlepsi uczniowie – westchnął Alcest. – Wszyscy tacy sami! Podłe tchórze!

– Ja jestem tchórzem, ja? – krzyknął Kleofas.

– Owszem, bo nosisz okulary! – wrzasnął Alcest.

– Dobra, zaraz zobaczymy, kto jest tchórzem! – krzyknął Kleofas, zdejmując okulary.

Obaj byli strasznie wściekli, ale nie mogli się pobić, bo przyleciał Rosół.

– Co znowu? – zapytał.

– On nie chce, żebym nosił okulary! – zawołał Alcest.

– A on chce mi je posmarować masłem! – wrzasnął Kleofas.

Rosół zakrył sobie twarz i pojechał rękami w dół po policzkach, a kiedy on tak robi, to wiadomo, że nie ma żartów.

– Wy dwaj, spójrzcie mi w oczy! – powiedział Rosół. – Nie wiem, coście znowu wymyślili, ale nie chcę więcej słyszeć o żadnych okularach! A na jutro odmienicie mi czasownik: „Nie powinienem opowiadać bredni i wywoływać zamieszania na przerwie, stawiając tym samym Pana Opiekuna wobec konieczności interwencji". We wszystkich czasach w trybie oznajmującym.

I poszedł zadzwonić na lekcję.

Kiedy już staliśmy w szeregu, Kleofas powiedział, że jak Alcest będzie miał czyste ręce, to chętnie pożyczy mu swoje okulary.

Naprawdę fajny kumpel z tego Kleofasa!

W klasie – akurat była geografia – Kleofas podał okulary Alcestowi, który przedtem dokładnie wytarł sobie ręce o kurtkę.

Alcest nałożył je, ale miał pecha, bo nie zauważył naszej pani, która stała tuż przed nim.

– Przestań błaznować, Alcest! – zawołała pani. I nie rób zeza!

Jeszcze zrobi się przeciąg i zostanie ci to na zawsze! A teraz wyjdź za drzwi!

I Alcest wyszedł w okularach, o mało co nie wpadł na drzwi, a pani wywołała Kleofasa do tablicy.

No i oczywiście bez okularów musiało się to źle skończyć:

Kleofas dostał pałę.

ŁYK ŚWIEŻEGO POWIETRZA

Na niedzielę zostaliśmy zaproszeni na wieś do nowego domku pana Bongrain. Pan Bongrain jest księgowym w biurze, gdzie pracuje mój tata, i podobno ma chłopca w moim wieku, który jest bardzo miły i nazywa się Kalasanty. Bardzo się ucieszyłem, bo strasznie lubię jeździć na wieś. Tata wyjaśnił nam, że pan Bongrain kupił ten dom nie tak dawno, i powiedział mu, że to tuż za miastem.

Pan Bongrain podał tacie wszystkie szczegóły przez telefon, a tata zapisał je na kartce. Zdaje się, że bardzo łatwo tam trafić. Jedzie się prosto, skręca w lewo przy pierwszych światłach, przejeżdża pod mostem kolejowym, potem znowu prosto aż do skrzyżowania, gdzie trzeba skręcić w lewo, potem jeszcze raz w lewo do dużego białego domu, następnie skręca się w prawo wąską polną drogą – i wtedy już prosto i na lewo za stacją benzynową.

Wyjechaliśmy, tata, mama i ja, dosyć wcześnie rano. Tata sobie podśpiewywał, ale szybko przestał, bo na szosie było mnóstwo samochodów. W ogóle nie można było jechać. Potem tata przegapił światła, przy których miał skręcić, ale powiedział, że to nic nie szkodzi, odnajdzie drogę przy następnym skrzyżowaniu.

Ale przy następnym skrzyżowaniu były jakieś roboty drogowe i postawiono tablicę z napisem: Objazd . No i zabłądziliśmy. Tata krzyczał na mamę, że źle czyta wskazówki zapisane na kartce, i pytał o drogę masę ludzi, którzy nie wiedzieli. W końcu przyjechaliśmy do pana Bongrain koło obiadu i dopiero wtedy przestaliśmy się kłócić. Pan Bongrain wyszedł nam na spotkanie aż do furtki.

– No proszę – powiedział. – Przyjechały mieszczuchy! Nie chciało się wstać z łóżeczka, co?

Więc tata wyjaśnił mu, żeśmy zabłądzili. Pan Bongrain zrobił strasznie zdziwioną minę.

– Coś ci się musiało pokręcić – powiedział. – Przecież to prosta droga! – I zaprosił nas do domu.

Fajny jest ten dom pana Bongrain! Nie za duży, ale fajny!

– Czekajcie – powiedział pan Bongrain – zawołam żonę. – I krzyknął: „Klaro! Klaro! Są nasi przyjaciele!".

Przyszła pani Bongrain z czerwonymi oczami, kaszląca, w strasznie poplamionym fartuchu.

– Nie podaję wam ręki – powiedziała – cała jestem czarna od węgla! Od rana męczę się bezskutecznie, żeby rozpalić pod tą kuchnią!

Pan Bongrain roześmiał się.

– Oczywiście – przyznał – trochę tu prymitywnie, ale na tym właśnie polega urok życia na wsi! Nie możemy mieć tutaj kuchni elektrycznej, tak jak w mieście.

– Dlaczego? – zapytała pani Bongrain.

– Pogadamy o tym za dwadzieścia lat, jak już spłacę ten dom – powiedział pan Bongrain i roześmiał się znowu.

Za to pani Bongrain nie roześmiała się i wyszła, mówiąc:

– Przepraszam, muszę się zająć obiadem. Sądzę, że też będzie bardzo prymitywny.

– A co z Kalasantym? – zapytał tata. – Nie ma go?

– Ależ jest, jest – odpowiedział pan Bongrain – ale łobuz siedzi za karę w swoim pokoju. Wiesz ty, co on zrobił dziś rano, ledwie wstał? Nigdy byś na to nie wpadł: wszedł na drzewo, żeby zrywać śliwki! Masz pojęcie? Nie po to płaciłem kupę pieniędzy za każde z tych drzewek, żeby teraz szczeniak zabawiał się łamaniem gałęzi, no nie?

A potem pan Bongrain powiedział, że skoro przyjechałem, daruje Kalasantemu karę, bo wierzy, że jestem grzecznym chłopcem, który nie będzie bawił się w tratowanie ogrodu i warzywnika.

Kalasanty przyszedł powiedział dzień dobry mojej mamie i tacie i podaliśmy sobie ręce. Wygląda całkiem fajnie, jasne że me tak, jak chłopaki ze szkoły, ale trzeba przyznać że oni, chłopaki z mojej szkoły, są po prostu niesamowicie fajni.

– Pobawimy się w ogrodzie? – zapytałem. Kalasanty spojrzał na swojego tatę, który powiedział:

– Wolałbym nie, dzieci. Niedługo będzie obiad i nie chciałbym, żebyście nanieśli błota do domu. Mama dość się napracowała dziś rano przy sprzątaniu.

Więc usiedliśmy sobie z Kalasantym i kiedy starsi pili aperitif, oglądaliśmy pismo, które czytałem już wcześniej u siebie w domu.

Przeczytaliśmy wszystko kilka razy, bo pani Bongrain spóźniała się z obiadem. W końcu weszła do pokoju, zdjęła fartuch i powiedziała:

– No trudno… Proszę do stołu!

Pan Bongrain był bardzo dumny z przystawek i pochwalił się, że pomidory pochodzą z jego ogrodu. Na to tata roześmiał się i powiedział, że trochę się te pomidory pospieszyły, bo są jeszcze całkiem zielone. Pan Bongrain odpowiedział, że może istotnie nie są jeszcze zupełnie dojrzałe, ale za to mają inny smak niż te, które można dostać na rynku. Jeśli chodzi o mnie, to najbardziej smakowały mi sardynki.

A potem pani Bongrain przyniosła okropnie śmieszną pieczeń, która z wierzchu była całkiem czarna, a w środku wyglądała tak, jakby w ogóle nie była upieczona.

– Ja tego nie chcę – skrzywił się Kalasanty. – Nie lubię surowego mięsa!

Pan Bongrain spojrzał na niego groźnie i powiedział, że ma szybko kończyć sałatkę z pomidorów i jeść mięso jak wszyscy, jeżeli nie chce zostać ukarany.

Najmniej udały się ziemniaki do pieczeni: były trochę twarde.

Po obiedzie usiedliśmy w salonie. Kalasanty znowu wziął pismo, a pani Bongrain opowiadała mamie, że w mieście ma służącą, ale ta służąca nie chce w niedzielę pracować na wsi. Pan Bongrain mówił tacie, ile go kosztował ten cały dom i jaki zrobił doskonały interes. Ale to wszystko nie bardzo mnie ciekawiło, więc zapytałem Kalasantego, czybyśmy nie mogli pobawić się na dworze, gdzie jest pełno słońca. Kalasanty spojrzał na swojego tatę, a pan Bongrain powiedział:

– Ależ oczywiście, dzieci. Proszę was tylko, żebyście nie biegali po trawniku, lecz po alejkach. Bawcie się dobrze i bądźcie grzeczni.

Wyszliśmy z Kalasantym na dwór i Kalasanty powiedział, że zagramy w kule. Bardzo lubię grę w kule, bo mam niesamowitego cela. Graliśmy w alejce. Była tylko jedna, i to niezbyt szeroka.

Muszę przyznać, że Kalasanty nieźle sobie radził.

– Uważaj – powiedział. – Jeżeli jakaś kula wpadnie na trawnik, to mamy ją z głowy!

Potem strzelił, i bum! – jego kula przeleciała obok mojej i wpadła na trawę. Natychmiast otworzyło się okno i wyjrzała z niego twarz pana Bongrain, strasznie zła i czerwona – Kalasanty! – krzyknął pan Bongrain. – Mówiłem, żebyś uważał i nie niszczył tego trawnika! Ogrodnik pracuje nad nim od wielu tygodni! Jak tylko przyjedziesz na wieś, robisz się nieznośny!

Jazda do pokoju! Będziesz tam siedział do wieczora!

Kalasanty rozpłakał się i poszedł do swojego pokoju, więc ja też wróciłem do domu. Ale nie posiedzieliśmy długo, bo tata powiedział, że woli wcześnie wyjechać, żeby uniknąć korków na drodze. Pan Bongrain przyznał, że to bardzo rozsądne, w istocie.

Oni też wyruszą z powrotem, jak tylko pani Bongrain skończy sprzątanie.

Państwo Bongrain odprowadzili nas do samochodu. Tata i mama powiedzieli im, że spędzili dzień, którego długo nie zapomną.

Kiedy tata miał już ruszać, pan Bongrain zbliżył się do drzwiczek.

– Dlaczego nie kupisz sobie domku na wsi, jak ja? – zapytał. – Oczywiście ja mógłbym się bez niego obejść, ale nie można być egoistą, mój stary! Nie wyobrażasz sobie nawet, jak to zdrowo dla żony i dziecka, taki odpoczynek i łyk świeżego powietrza w każdą niedzielę!

KREDKI

Dziś rano, zanim poszedłem do szkoły, listonosz przyniósł dla mnie paczkę, prezent od Buni. Fajny chłop z tego listonosza! Tata, który pił właśnie kawę z mlekiem, złapał się za głowę. „Oj, oj, oj, zanosi się na jakąś katastrofę!" Mamie nie spodobało się, że tata tak mówi, i zaczęła krzyczeć, że za każdym razem, jak jej mama, moja Bunia, coś zrobi, tata się zawsze musi do tego przyczepić. Wtedy tata powiedział, że chciałby w spokoju wypić swoją kawę z mlekiem, a mama mu na to, że no tak, oczywiście, ona jest potrzebna tylko do tego, żeby robić kawę z mlekiem i sprzątać mieszkanie, tata, że wcale tego nie powiedział, ale chyba nie żąda zbyt wiele, pragnie tylko mieć w domu trochę spokoju, on, który ciężko pracuje, żeby mama miała z czego robić kawę z mlekiem. A kiedy mama i tata rozmawiali, ja otworzyłem paczkę, no i bomba: to było pudełko kredek! Tak się ucieszyłem, że zacząłem biegać, skakać i tańczyć z prezentem po jadalni, i wszystkie kredki wypadły.

– Nieźle się zaczyna! – powiedział tata.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała mama. – Poza tym nie widzę, jakie nieszczęście miałoby zdarzyć się z powodu tych kredek! Naprawdę nie widzę!

– Zobaczysz! – mruknął tata.

I poszedł do biura. Mama kazała mi pozbierać kredki, bo spóźnię się do szkoły. Więc szybko włożyłem je do pudełka i zapytałem, czy mogę zabrać je do szkoły. Mama się zgodziła, tylko kazała mi uważać, żeby nie było żadnych historii. Przyrzekłem jej, wrzuciłem pudełko do tornistra i wyszedłem z domu. Nie rozumiem mamy i taty. Za każdym razem, jak dostanę jakiś prezent, są pewni, że narobię głupstw.

Przyszedłem do szkoły równo z dzwonkiem na lekcje. Bardzo byłem dumny z moich kredek i nie mogłem się doczekać, kiedy pokażę je chłopakom. Bo u nas w szkole jest tak, że przeważnie Gotfryd przynosi jakieś rzeczy. Dostaje je od ojca, który jest strasznie bogaty. Więc teraz cieszyłem się, bo pokażę Gotfrydowi, że nie on jeden może dostawać fajne prezenty, no bo co w końcu, kurczę blade…

Na lekcji pani wywołała Kleofasa do tablicy. Kiedy go pytała, pokazałem kredki Alcestowi, który siedzi ze mną w ławce.

– Strasznie fajne – powiedział Alcest.

– Bunia mi przysłała – wyjaśniłem.

– Co to jest? – zapytał Joachim.

I Alcest dał pudełko Joachimowi, Joachim Maksencjuszowi, Maksencjusz Euzebiuszowi, Euzebiusz Rufusowi, Rufus Gotfrydowi, a Gotfryd zrobił głupią minę.

Ale ponieważ wszyscy otwierali pudełko i wyciągali kredki, żeby je obejrzeć i spróbować, jak malują, przestraszyłem się, że pani to zobaczy i zabierze kredki. Kiedy zacząłem dawać Gotfrydowi znaki, żeby mi oddał pudełko, pani zawołała:

– Mikołaj! Czemu się tak wiercisz i robisz z siebie błazna?

Okropnie się przestraszyłem. Zacząłem płakać i tłumaczyć pani, że dostałem od Buni pudełko kredek i chcę, żeby mi oddali.

Pani spojrzała na mnie z wyrzutem, westchnęła i powiedziała:

– Dobrze. Kto ma pudełko Mikołaja, niech mu je odda.

Gotfryd wstał i oddał mi pudełko. Zajrzałem do środka, brakowało mnóstwa kredek.

– Co znowu? – spytała mnie pani.

– Brakuje kredek – wyjaśniłem.

– Kto ma kredki Mikołaja, niech mu je odda! – powiedziała pani.

Wtedy wszyscy zerwali się, żeby mi oddać kredki. Pani zaczęła walić linijką w biurko i wszystkim wlepiła karę. Mamy odmienić czasownik: „Nie powinienem pod pretekstem kredek przerywać lekcji i wywoływać zamieszania w klasie". Oprócz Ananiasza, pupilka naszej pani, którego nie było w szkole, bo chorował na świnkę, nie został ukarany tylko

Kleofas, którego właśnie pytano przy tablicy. Pani zabroniła mu za to wychodzić na pauzę, jak zresztą za każdym razem, kiedy jest pytany.

Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, zabrałem kredki ze sobą, żebyśmy mogli porozmawiać o nich z chłopakami, nie narażając się na to, że zostaniemy ukarani. Ale na podwórku, jak otworzyłem pudełko, zobaczyłem, że brakuje żółtej kredki.

– Brakuje żółtej! – zawołałem. – Oddajcie żółtą!

– Nudny jesteś! – powiedział Gotfryd. – Przez ciebie zostaliśmy ukarani.

Wtedy okropnie się zezłościłem.

– Jakbyście się tak nie wygłupiali, toby się nic nie stało – powiedziałem. – Tylko że wszyscy jesteście zazdrośni! A jak nie znajdę złodzieja, pójdę się poskarżyć!

– Euzebiusz ma żółtą! – krzyknął Rufus. – Jest cały czerwony! E, chłopaki, słyszeliście? Wymyśliłem kawał: powiedziałem, że Euzebiusz ukradł żółtą, bo jest cały czerwony!

Wszyscy zaczęli się śmiać i ja też, bo to był dobry kawał.

Opowiem go tacie! Nie śmiał się tylko Euzebiusz, który podszedł do Rufusa i rąbnął go w nos.

– No to kto jest złodziej? – zapytał Euzebiusz i z kolei rąbnął w nos Gotfryda.

– Przecież ja nic nie mówiłem! – wrzasnął Gotfryd, który nie lubi dostawać w nos, szczególnie od Euzebiusza. Rozśmieszył mnie ten numer z Gotfrydem, który oberwał, kiedy się tego nie spodziewał. No i Gotfryd podbiegł do mnie i bez uprzedzenia palnął mnie w głowę, pudełko upadło na ziemię i zaczęliśmy się bić. Rosół – nasz opiekun – przyleciał pędem, rozdzielił nas, zwymyślał od dzikusów, powiedział, że nie chce o niczym wiedzieć, i zadał każdemu po sto linijek do przepisania.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – powiedział Alcest. – Właśnie jadłem drugie śniadanie.

– Ani ja – dodał Joachim. – Właśnie prosiłem Alcesta, żeby mi dał gryza.

– Wypchaj się – burknął Alcest.

Wtedy Joachim trzepnął Alcesta, a Rosół zadał każdemu po dwieście linijek.

Kiedy wróciłem do domu na obiad, nie było mi wcale do śmiechu.

Pudełko było zniszczone, część kredek połamana i ciągle brakowało żółtej. W jadalni rozpłakałem się, opowiadając mamie o tym, jak nas ukarano. Kiedy przyszedł tata, tylko pokiwał głową.

– No proszę, nie pomyliłem się, jednak była awantura z powodu tych kredek!

– Nie przesadzajmy – powiedziała mama.

A potem usłyszeliśmy okropny hałas: to tata runął jak długi, stanąwszy na żółtą kredkę, która leżała pod drzwiami jadalni.

NA CAMPINGU

– Chłopaki! – powiedział Joachim, kiedy żeśmy wychodzili ze szkoły. – Jedziemy jutro na camping? – A co to jest camping? – zapytał Kleofas, który nas zawsze rozśmiesza, bo nigdy niczego, ale to niczego nie wie.

– Camping? To bardzo fajne – wytłumaczył mu Joachim. – Byłem na campingu w zeszłą niedzielą z rodzicami i ich przyjaciółmi.

Jedzie się samochodem daleko na wieś, potem wybiera się jakiś ładny zakątek nad rzeką, stawia namioty, rozpala ognisko, żeby było na czym gotować, kąpie się, łowi ryby, śpi się pod namiotem, jest pełno komarów, a jak zaczyna padać, pędem ucieka się z powrotem.

– U mnie w domu – powiedział Maksencjusz – nigdy mi nie pozwolą wygłupiać się samemu gdzieś daleko na wsi. Szczególnie nad rzeką.

– Co ty – powiedział Joachim. – Będziemy tylko udawać! Zrobimy sobie camping na placu!

– A namiot? Masz przynajmniej namiot? – zapytał Euzebiusz.

– No jasne! odpowiedział Joachim. – To jak, zgadzacie się?

I w czwartek byliśmy wszyscy na placu. Nie wiem, czy już wam mówiłem, że w naszej dzielnicy, tuż koło mojego domu, jest niesamowicie fajny pusty plac pełen skrzynek, papierów, kamieni, starych puszek, butelek i nadąsanych kotów. A najważniejsze, że stoi tam stary samochód, który nie ma kół, ale i tak jest okropnie fajny.

Joachim przyszedł ostatni, niosąc pod pachą zwinięty koc.

– A namiot? – zapytał Euzebiusz.

– No, to jest namiot – wyjaśnił Joachim, pokazując nam koc, który był stary, poplamiony, i miał mnóstwo dziur.

– To nie jest prawdziwy namiot! – powiedział Rufus.

– A co? Myślałeś może, że tata pożyczy mi swój nowy namiot? – zapytał Joachim. – Weźmiemy koc i będziemy udawać.

Potem Joachim powiedział, że mamy wsiąść do samochodu, bo na camping trzeba koniecznie jechać samochodem.

– Nieprawda! – zawołał Gotfryd. – Mam brata ciotecznego, który jest harcerzem. On zawsze chodzi na piechotę!

– Jak chcesz iść na piechotę, to sobie idź – powiedział Joachim. – My jedziemy samochodem i będziemy na miejscu długo przed tobą.

– A kto będzie prowadzić? – zapytał Gotfryd.

– Oczywiście, że ja – odpowiedział Joachim.

– A dlaczego, jeśli można wiedzieć? – spytał Gotfryd.

– Dlatego, że to był mój pomysł, żeby jechać na camping, i dlatego, że ja przyniosłem namiot! – odpowiedział Joachim.

Gotfryd nie był specjalnie zachwycony, ale ponieważ chcieliśmy jak najszybciej przyjechać na ten camping, poradziliśmy mu, żeby dał spokój. No więc wsiedliśmy do samochodu, namiot położyliśmy na dachu, a potem wszyscy zaczęliśmy robić: „Brum, brum", oprócz Joachima, który prowadził i krzyczał: „Z drogi, baranie! No, jazda, ofermo! Kretyn! Widzieliście, jak go załatwiłem, tego w sportowym wozie?". Ten dopiero będzie kierowcą, jak dorośnie! A potem Joachim powiedział:

– To miejsce wygląda przyjemnie. Stajemy.

Wtedy wszyscy przestaliśmy robić: „Brum" i wysiedliśmy z samochodu, a Joachim rozejrzał się dookoła, zadowolony jak nie wiem co.

– Fajnie! Przynieście namiot, rzekę mamy obok.

– Gdzie ty widzisz rzekę? – zapytał Rufus.

– No tu! – pokazał Joachim. – Przecież tylko udajemy, nie?

Potem przynieśliśmy namiot i kiedy żeśmy go rozbijali, Joachim powiedział Gotfrydowi i Kleofasowi, żeby poszli po wodę do rzeki, a potem udawali, że rozpalają ognisko, bo trzeba ugotować obiad.

Z tym rozbijaniem namiotu nie poszło nam wcale łatwo, ale ustawiliśmy skrzynki jedne na drugich, a na wierzchu położyliśmy koc. Wyszło bardzo fajnie.

– Obiad gotowy! – zawołał Gotfryd.

Więc zaczęliśmy wszyscy udawać, że jemy, oprócz Alcesta, który jadł naprawdę, bo zabrał z domu kanapki z dżemem.

– Doskonały ten kurczak! – powiedział Joachim, mlaskając językiem.

– Dasz trochę kanapek? – zapytał Alcesta Maksencjusz.

– Zwariowałeś? – odpowiedział Alcest. – Czy ja cię proszę, żebyś mi dał kurczaka?

Ale ponieważ Alcest to dobry kolega, więc udał, że daje Maksencjuszowi jedną ze swoich kanapek.

– Dobra, teraz trzeba będzie zgasić ognisko – powiedział Joachim – i zakopać wszystkie puszki od konserw i brudne papiery.

– Co ty, chory? – spytał Rufus. – Jeżeli będziemy musieli zakopać wszystkie puszki i brudne papiery z placu, to nie ruszymy się stąd do niedzieli.

– Głupi jesteś! – obraził się Joachim. – Przecież tylko udajemy!

Teraz wszyscy idziemy spać do namiotu.

W namiocie był ubaw jak nie wiem co. Byliśmy strasznie ściśnięci i było gorąco, ale żeśmy się dobrze bawili. Oczywiście nie spaliśmy naprawdę. Wcale nam się nie chciało spać, no i nie było miejsca. Siedzieliśmy pod kocem przez jakiś czas, kiedy Alcest zapytał:

– To co teraz robimy?

– Nic – odpowiedział Joachim. – Ci, którzy chcą, mogą spać, a reszta może iść kąpać się w rzece. Jak się jest na campingu, każdy robi to, na co ma ochotę. To właśnie jest najfajniejsze.

– Gdybym zabrał pióropusz – powiedział Euzebiusz – można by pobawić się w Indian.

– W Indian? – zapytał Joachim. – Widziałeś kiedyś Indian na campingu, idioto?

– Ja jestem idiota? – zapytał się Euzebiusz.

– Euzebiusz ma rację – powiedział Rufus. – Nudno w tym twoim namiocie!

– Pewnie, że jesteś idiota! – krzyknął Joachim i źle zrobił, bo Euzebiusz jest bardzo silny i lepiej z nim nie żartować. Buch! – walnął Joachima w nos, a Joachim zezłościł się, no i zaczęła się bójka. Ponieważ w namiocie nie było dużo miejsca, wszyscy żeśmy trochę oberwali, a potem skrzynie się przewróciły i nie mogliśmy się wygrzebać spod koca. Było okropnie śmiesznie.

Tylko Joachim niezadowolony skakał po kocu i krzyczał: „Jak ma być tak, to wynocha wszyscy z mojego namiotu! Sam będę się bawił w camping!".

– Naprawdę się złościsz czy tylko udajesz? – zapytał Rufus.

Wtedy wszyscy zaczęliśmy się śmiać, a Rufus śmiał się razem z nami, pytając:

– Czemu się śmiejecie, chłopaki? Powiedziałem coś śmiesznego?

A potem Alcest krzyknął, że robi się późno i trzeba wracać na kolację.

– Tak – zgodził się Joachim. – Zresztą zaczyna padać. Szybko!

Szybko! Zabierajcie rzeczy i biegiem do samochodu!

Bardzo fajnie było na campingu. Każdy z nas wrócił do domu zmęczony, ale zadowolony. I nic nie szkodzi, że dostaliśmy od rodziców burę za to, że wróciliśmy tak późno.

Niesprawiedliwie zresztą, bo przecież to nie nasza wina, że w drodze powrotnej utknęliśmy w niesamowitym korku!

MÓWILIŚMY PRZEZ RADIO

Dziś rano w klasie pani powiedziała: – Dzieci, chciałabym wam coś oznajmić. W ramach ankiety prowadzonej wśród młodzieży szkolnej gościć będziemy reporterów z radia, którzy przeprowadzą z wami wywiad.

Nie odpowiedzieliśmy nic, bo żeśmy nie zrozumieli. Zrozumiał tylko Ananiasz, ale to nic dziwnego: jest przecież pupilkiem naszej pani i najlepszym uczniem w klasie. Więc pani wytłumaczyła nam, że tacy panowie z radia przyjdą zadawać nam pytania, że robią tak we wszystkich szkołach w mieście, a dziś wypada nasza kolej.

– Liczę na to, że będziecie się zachowywali grzecznie i mówili inteligentnie – powiedziała pani.

Zdenerwowaliśmy się jak nie wiem co, słysząc, że mamy mówić przez radio, i pani musiała kilka razy uderzyć linijką w biurko, żeby móc dalej prowadzić lekcję gramatyki.

A potem otworzyły się drzwi i do klasy wszedł dyrektor z dwoma panami, z których jeden niósł walizkę.

– Wstać! – powiedziała pani.

– Siadać! – powiedział dyrektor. – Drogie dzieci, wielki to honor dla naszej szkoły, że gościć możemy radio, które czarodziejską mocą swych fal, dzięki geniuszowi Marconiego, sprawi, iż słowa wasze rozbrzmiewać będą w tysiącach domów. Pewien jestem, że docenicie ten zaszczyt i postawą swą udowodnicie, że nie brak wam poczucia odpowiedzialności. W przeciwnym razie, uprzedzam, wobec błaznów zastosuję surowe kary! Ten pan wyjaśni wam, czego od was oczekuje.

Wtedy jeden z panów wyjaśnił, że będzie nas pytał o to, co lubimy robić, o to, co czytamy, i o to, czego uczymy się w szkole. A potem wziął do ręki jakiś przyrząd i powiedział: „To jest mikrofon. Będziecie do niego mówić, wyraźnie i bez obawy. A dziś wieczór, dokładnie o ósmej, będziecie mogli siebie usłyszeć, bo wszystko to zostanie nagrane".

A potem ten pan obrócił się do drugiego pana, który na biurku naszej pani otworzył walizkę z przyrządami i założył na uszy słuchawki. Zupełnie jak piloci w filmie, który widziałem, ale im wysiadło radio, a ponieważ była okropna mgła, nie mogli odnaleźć miasta, do którego lecieli, i spadli do wody. To był naprawdę bardzo fajny film!

Pierwszy pan zapytał tego, co miał słuchawki na uszach:

– Możemy zaczynać, Piotrusiu?

– Aha – powiedział pan Piotruś. – Zrób próbę głosu.

– Raz, raz, dwa, trzy, cztery, pięć… W porządku? – zapytał drugi pan.

– W porządeczku, Kiki – odpowiedział pan Piotruś.

– Doskonale – ucieszył się pan Kiki. – No to który chce mówić pierwszy?

– Ja! Ja! Ja! – zawołaliśmy wszyscy. Pan Kiki zaczął się śmiać.

– Widzę, że mamy wielu chętnych. Będę więc musiał prosić panią, żeby wyznaczyła jednego z was.

Na to pani oczywiście powiedziała, że trzeba zapytać Ananiasza, bo to najlepszy uczeń w klasie. Zawsze to samo z tym pupilkiem, kurczę blade!

Ananiasz podszedł do pana Kiki i pan Kiki przysunął mu do ust mikrofon. Twarz Ananiasza była całkiem biała.

– Dobrze, mój mały, powiedz mi, jak ci na imię? – zapytał pan Kiki.

Ananiasz otworzył usta i nic nie powiedział. Więc pan Kiki chciał go ośmielić.

– Nazywasz się Ananiasz, prawda?

Ananiasz kiwnął głową, że tak.

– Podobno – powiedział pan Kiki – jesteś najlepszym uczniem w klasie. Chcielibyśmy usłyszeć, jak spędzasz wolny czas, jakie są twoje ulubione zabawy… No, śmiało! Nie trzeba się bać!

Wtedy Ananiasz się rozpłakał, a potem zrobiło mu się niedobrze i pani musiała szybko wyprowadzić go z klasy.

Pan Kiki otarł pot z czoła, spojrzał na pana Piotrusia i zapytał:

– Czy jest pośród was ktoś, kto nie boi się mówić do mikrofonu?

– Ja! Ja! Ja! – zawołaliśmy wszyscy.

– Dobrze – powiedział pan Kiki. – To może ty, gruby, chodź tutaj.

Tak… No to zaczynamy… Jak masz na imię, mój mały?

– Alcest – powiedział Alcest.

– Alszeszt? – zapytał pan Kiki bardzo zdziwiony.

– Proszę cię, bądź tak uprzejmy i nie mów z pełnymi ustami – odezwał się dyrektor.

– Kiedy właśnie – wyjaśnił Alcest – jadłem rogala, jak on mnie wywołał.

– Rog… Ładne rzeczy! Więc jemy na lekcji! – krzyknął dyrektor. – Ślicznie! Jazda do kąta! Porozmawiamy o tym później. Rogalik zostaw na stole.

Więc Alcest westchnął ciężko, położył rogalik na biurku naszej pani i poszedł do kąta, gdzie zaraz zaczął jeść drożdżówkę, którą wyciągnął z kieszeni spodni. Pan Kiki wycierał rękawem mikrofon.

– Proszę im wybaczyć – powiedział dyrektor – są bardzo młodzi i trochę roztargnieni.

– Och! Jesteśmy przyzwyczajeni – roześmiał się pan Kiki. – Do naszej poprzedniej ankiety przeprowadzaliśmy wywiad ze strajkującymi dokerami. Prawda, Piotrusiu?

– To były czasy! – powiedział pan Piotruś.

A potem pan Kiki zawołał Euzebiusza.

– Jak masz na imię, mój mały? – zapytał. – Euzebiusz! – wrzasnął Euzebiusz, a pan Piotruś zdjął z uszu słuchawki.

– Nie tak głośno – upomniał go pan Kiki. – Po to właśnie wynaleziono radio, żebyśmy się mogli słyszeć na odległość bez podnoszenia głosu. Zaczynamy od nowa… Jak masz na imię, mój mały?

– Euzebiusz, przecież już panu mówiłem…

– Ależ nie – powiedział pan Kiki. – Nie trzeba mówić, że już mi mówiłeś. Pytam cię o imię, ty mi je mówisz, i to wszystko.

Gotowe, Piotrusiu? No to zaczynamy… Jak masz na imię, mój mały?

– Euzebiusz – powiedział Euzebiusz.

– Przynajmniej nie zapomnimy – zachichotał Gotfryd.

– Gotfryd, za drzwi! – krzyknął dyrektor.

– Cisza! – wrzasnął pan Kiki.

– Ej! Uprzedzaj, jak krzyczysz! – powiedział pan Piotruś, który zdjął z uszu słuchawki.

Pan Kiki zasłonił sobie ręką oczy, poczekał chwilę, opuścił rękę i zapytał Euzebiusza, w jaki sposób lubi spędzać wolny czas.

– Strasznie lubię grać w nogę – zaczął Euzebiusz. – Wszystkich biję na głowę…

– Nieprawda! – zawołałem. – Wczoraj byłeś bramkarzem i żeśmy ci przyładowali.

– No! – powiedział Kleofas.

– Rufus odgwizdał spalonego! – krzyknął Euzebiusz.

– No jasne – powiedział Maksencjusz. – Grał w twojej drużynie.

Zawsze mówiłem, że zawodnik nie może być jednocześnie sędzią, nawet jeżeli ma gwizdek.

– Chcesz dostać w nos? – zawołał Euzebiusz, a dyrektor za karę

kazał mu przyjść do szkoły w czwartek , kiedy nie ma lekcji.

Wtedy pan Kiki oświadczył, że nagranie skończone, pan Piotruś zapakował wszystko z powrotem do walizki - i obaj sobie poszli.

A wieczorem o ósmej oprócz taty i mamy byli u nas państwo Bledurt, państwo Courteplaque, nasi sąsiedzi, i pan Barlier, który pracuje w tym samym biurze co mój tata. Był też stryjek Eugeniusz. Wszyscy usiedliśmy wokół radia, żeby posłuchać, jak będę mówił. Bunię zawiadomiono za późno i nie mogła przyjechać, ale słuchała radia u siebie razem z kilkoma przyjaciółmi. Mój tata był bardzo dumny i co chwila gładził mnie ręką po włosach, mówiąc: „He, he!". Wszyscy byli bardzo zadowoleni.

No i nie wiem, co się stało w tym radiu. O ósmej była tylko 1 W szkołach francuskich czwartek był dniem wolnym od nauki (obecnie dniem wolnym jest środa). muzyka!

Najbardziej było mi żal pana Kiki i pana Piotrusia. Musiał ich spotkać straszny zawód!

JADWINIA

Mama pozwoliła mi zaprosić chłopaków ze szkoły do nas na podwieczorek. Zaprosiłem też Jadwinię. Jadwinia ma żółte włosy, niebieskie oczy i jest córką państwa Courteplaque, którzy mieszkają obok nas. Kiedy chłopaki przyszły, Alcest zajrzał od razu do jadalni, żeby zobaczyć, co będzie na podwieczorek.

Kiedy wrócił, zapytał: „Czy ktoś jeszcze przyjdzie? Policzyłem krzesła i wypada o jeden kawałek ciasta za dużo". Więc powiedziałem, że zaprosiłem Jadwinię, i wytłumaczyłem im. że to córka państwa Courteplaque, naszych sąsiadów.

– Ale to jest dziewczyna! – powiedział Gotfryd.

– No i co z tego – odpowiedziałem.

– Nie bawimy się z dziewczynami – skrzywił się Kleofas.

– Jak przyjdzie, nie odzywamy się do niej i nie bawimy się z nią.

Mowy nie ma…

– Jestem u siebie i zapraszam, kogo chcę – powiedziałem. – A jak ci się nie podoba, to mogę dać ci w zęby.

Ale nie zdążyłem dać mu w zęby, bo ktoś zadzwonił do drzwi i weszła Jadwinia.

Miała na sobie sukienkę z takiego samego materiału jak podwójne zasłony w naszym salonie, tyle że ciemnozieloną, z białym kołnierzykiem, który na brzegach miał pełno dziurek. Wyglądała bardzo fajnie, głupio tylko, że przyniosła ze sobą lalkę.

– Jak to, Mikołaju – spytała mama. – Nie przedstawisz kolegom swojej przyjaciółki?

– To jest Euzebiusz – powiedziałem. – To Rufus, Kleofas, Gotfryd. A to Alcest.

– A moja lalka – wyjaśniła Jadwinia – nazywa się Klementyna. Ma suknię z koronki.

Ponieważ nikt nic nie mówił, mama powiedziała, że możemy siadać do stołu, bo podwieczorek podany.

Jadwinia siedziała pomiędzy mną a Alcestem. Mama nalała nam czekolady i nałożyła ciasta. Wszystko było bardzo smaczne, ale chłopaki siedziały cicho, zupełnie jak w klasie, kiedy przychodzi wizytator. Naraz Jadwinia spojrzała na Alcesta i zawołała:

– Jak ty szybko jesz! Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko jadł! To fantastyczne!

I kilka razy, bardzo szybko, zamrugała oczami.

Za to Alcest wcale nie mrugnął. Popatrzył na Jadwinię, połknął olbrzymi kawał ciasta, który miał w ustach, zrobił się cały czerwony, a potem zaśmiał się głupio.

– E tam! Ja potrafię jeść tak samo jak on, a nawet szybciej, jeśli zechcę! – pochwalił się Gotfryd.

– Wolne żarty! – powiedział Alcest.

– Och! – pisnęła Jadwinia. – Szybciej niż Alcest, to chyba niemożliwe!

I Alcest znowu się głupio zaśmiał. A Gotfryd powiedział:

– Zobaczysz!

I zaczął szybko wsuwać swoje ciasto. Alcest nie mógł się ścigać, bo skończył swój kawałek, ale inni się przyłączyli.

– Wygrałem! – krzyknął Euzebiusz, parskając okruchami na wszystkie strony.

– Nie liczy się – powiedział Rufus. – Nie miałeś już prawie nic na talerzu.

– Co ty? – obraził się Euzebiusz. – Miałem jeszcze pełno ciasta!

– Nie rozśmieszaj mnie – powiedział Kleofas. – Ja miałem największy kawałek, a więc to ja wygrałem!

Miałem znowu straszną ochotę dać w zęby temu kłamcy Kleofasowi, ale do pokoju weszła mama, popatrzyła na stół i zrobiła wielkie oczy.

– Jak to! – zapytała. – Już skończyliście ciasto?

– Ja jeszcze nie – szepnęła Jadwinia, która je małymi kęskami, i to zajmuje dużo czasu, bo najpierw podsuwa kawałki ciasta swojej lalce, a potem dopiero wkłada je sobie do ust. Z tym że lalka, rzecz jasna, nie je.

– Dobrze – powiedziała mama – kiedy skończycie, możecie iść pobawić się w ogrodzie. Jest bardzo ładnie.

I wyszła z pokoju.

– Masz piłkę? – zapylał mnie Kleofas.

– Dobra myśl – ucieszył się Rufus. – W połykaniu ciasta to wy może jesteście dobrzy. Ale w nogę – nie ma tak lekko. Dajcie mi tylko piłkę, to się pokiwamy!

– Nie rozśmieszaj mnie – powiedział Gotfryd.

– Za to w fikaniu koziołków najlepszy jest Mikołajek! – zawołała Jadwinia.

– Koziołki? – zapalił się Euzebiusz. – Ja jestem najlepszy w fikaniu! Od lat już fikam koziołki.

– Bezczelność! – zezłościłem się. – Wiesz dobrze, że to ja jestem mistrzem!

– Załóżmy się – powiedział Euzebiusz.

I wszyscy razem z Jadwinią, która wreszcie skończyła swoje ciasto, poszliśmy do ogrodu.

W ogrodzie ja i Euzebiusz zabraliśmy się od razu do fikania koziołków. A potem Gotfryd powiedział, że nie umiemy, i też zaczął fikać. Rufusowi, trzeba przyznać, wychodziło nie za dobrze, a Kleofas musiał szybko przestać, bo zgubił w trawie kulkę, którą miał w kieszeni. Jadwinia biła brawo, a Alcest jedną ręką jadł drożdżówkę, którą zabrał z domu, żeby mieć coś do przegryzienia po podwieczorku, a drugą trzymał Klementynę, lalkę Jadwini. Zdziwiło mnie tylko, że Alcest dawał lalce kawałki ciastka. Normalnie nigdy niczego nie daje, nawet kolegom.

Kleofas, który znalazł wreszcie swoją kulkę, zapytał:

– A tak umiecie robić?

I zaczął chodzić na rękach.

– Och! – zawołała Jadwinia. – To fantastyczne!

Chodzenie na rękach jest dużo trudniejsze od fikania koziołków.

Próbowałem, ale za każdym razem leciałem na ziemię. Euzebiusz dość dobrze dawał sobie radę i utrzymał się na rękach dłużej niż Kleofas. Może zresztą dlatego, że Kleofas znowu musiał szukać swojej kulki, która po raz drugi wypadła mu z kieszeni.

– Co wam przyjdzie z chodzenia na rękach? – spytał Rufus. – Lepiej łazić po drzewach.

I Rufus zaczął wchodzić na drzewo. Muszę przyznać, że nasze drzewo wcale nie jest łatwe, bo nie ma dużo gałęzi, a te, które ma, są na samej górze.

Zaczęliśmy się śmiać, bo Rufus ściskał pień nogami i rękami, ale jakoś nie bardzo mu się udawało.

– Posuń się, ja ci pokażę – powiedział Gotfryd.

Ale Rufus nie chciał się puścić drzewa, więc Gotfryd i Kleofas próbowali wdrapać się obaj jednocześnie, a Rufus wołał:

– Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie! Wspinam się!

Całe szczęście, że tata tego nie widział, bo on się strasznie złości za każdym razem, jak zobaczy, że włażę na nasze drzewo.

Ponieważ na pniu nie było już miejsca Ja z Euzebiuszem fikaliśmy koziołki, a Jadwinia liczyła, który zrobi więcej. A potem pani Courteplaque zawołała ze swojego ogródka:

– Jadwiniu! Wracaj! Pora na lekcję muzyki!

Więc Jadwinia odebrała lalkę z rąk Alcesta, pomachała nam na do widzenia i poszła.

Rufus, Kleofas i Gotfryd puścili drzewo, Euzebiusz przestał fikać koziołki, a Alcest powiedział:

– Robi się późno, idę do domu.

I wszyscy sobie poszli.

To był fajny dzień i było nam bardzo wesoło. Nie jestem tylko pewny, czy Jadwinia dobrze się bawiła.

Bo prawdę mówiąc, nie byliśmy zbyt mili. Prawie żeśmy z nią nie rozmawiali i bawiliśmy się ze sobą, jakby jej wcale nie było.

FILATELISTYKA

Dziś rano Rufus przyszedł do szkoły strasznie zadowolony. Pokazał nam nowiutki zeszyt, gdzie na pierwszej stronie, w lewym rogu u góry, przyklejony był znaczek. Reszta stron była pusta.

– Od dzisiaj zbieram znaczki – oznajmił nam Rufus.

I opowiedział, że jego tata podsunął mu pomysł zbierania znaczków, że to się nazywa filatelistyka i jest strasznie pożyteczne, bo oglądając znaczki, człowiek uczy się historii i geografii. Jego tata powiedział mu też, że taka kolekcja znaczków może osiągnąć ogromną wartość. Był nawet jakiś król angielski, którego kolekcja warta była masę pieniędzy.

– Dobrze by było – powiedział Rufus – żebyście wszyscy zaczęli zbierać znaczki. Wtedy byśmy mogli się wymieniać. Tata mówił, że w ten sposób można dojść do fantastycznych kolekcji. Ale znaczki nie mogą być uszkodzone i koniecznie muszą mieć wszystkie ząbki.

Kiedy przyszedłem do domu na obiad, zaraz poprosiłem mamę, żeby mi dała jakieś znaczki.

– Cóżeś ty znowu wymyślił? – zdziwiła się mama. – Umyj ręce i nie zawracaj mi głowy swoimi zwariowanymi pomysłami.

– Po co ci znaczki, chłopie? – spytał tata. – Masz jakieś listy do napisania?

– No nie – odpowiedziałem – tylko chciałbym zostać filatelistą. Jak Rufus.

– Ależ to doskonale! – ucieszył się tata. – Filatelistyka to bardzo interesujące zajęcie! Zbierając znaczki, człowiek uczy się mnóstwa rzeczy, zwłaszcza historii i geografii. A poza tym, wiesz, dobra kolekcja może osiągnąć ogromną wartość. Był jakiś król angielski, którego kolekcja warta była majątek!

– Tak – powiedziałem. – Więc my z chłopakami będziemy się wymieniać i będziemy mieć niesamowite kolekcje znaczków z mnóstwem ząbków.

– Taaaak… – zgodził się tata. – W każdym razie wolę już, żebyś kolekcjonował znaczki niż te niepotrzebne zabawki, które rozpychają ci kieszenie i poniewierają się po całym domu. A teraz posłuchaj mamy, idź umyć ręce i siadaj do stołu. Po obiedzie dostaniesz ode mnie kilka znaczków.

Tata przeszukał swoje biurko, znalazł trzy koperty i z każdej z nich oderwał róg ze znaczkiem.

– Oto początek fantastycznej kolekcji! – powiedział, śmiejąc się, tata.

A ja go pocałowałem, bo mój lala jest najfajniejszy na świecie!

Po południu, kiedy wróciłem do szkoły, okazało się, że kilku z nas już założyło sobie kolekcje. Kleofas miał jeden znaczek. Gotfryd i Alcest też mieli po jednym, tylko że znaczek Alcesta był cały poszarpany, wstrętny, umazany masłem i brakowało mu masę ząbków. Ja ze swoimi trzema znaczkami miałem najfajniejszy zbiór. Euzebiusz nie miał znaczków i wołał, że wszyscy jesteśmy głupi i że to do niczego. On woli piłkę nożną.

– Sam jesteś głupi – powiedział Rufus. – Gdyby król Anglii grał w piłkę nożną, zamiast zbierać znaczki, nie byłby bogaty. A może nawet nie byłby królem.

Rufus miał rację, ale zadzwonił dzwonek na lekcję i musieliśmy dać spokój filatelistyce.

Na przerwie zaczęliśmy się wymieniać.

– Kto chce mój znaczek? – zapytał Alcest.

– Masz znaczek, którego mi brakuje – powiedział Rufus do Kleofasa. – Chcesz, to się z tobą zamienię.

– Dobra – zgodził się Kleofas. – Dam ci mój znaczek, jak ty mi dasz dwa.

– A dlaczego, jeśli można wiedzieć, miałbym ci dawać dwa znaczki za jeden? – zapytał Rufus. – Daję jeden za jeden.

– Zgoda, jeden za jeden - powiedział Alcest.

Wtedy podszedł do nas Rosół. Rosół to nasz opiekun. On zawsze ma się na baczności, jak widzi nas razem, a ponieważ stale jesteśmy razem, bo fajna z nas paczka, więc Rosół przez cały czas musi mieć się na baczności.

– Spójrzcie mi w oczy – powiedział Rosół. – Co wy tam znowu knujecie, nicponie?

– Nic, psze pana – odpowiedział Kleofas. – Zajmujemy się filatelistyką i wymieniamy znaczki. Jeden znaczek za dwa i takie tam rzeczy, żeby mieć fajne kolekcje.

– Filatelistyką? – powiedział Rosół. – Ależ to doskonale! Bardzo dobrze! To bardzo pouczające, zwłaszcza jeśli chodzi o historię i geografię! A poza tym, dobra kolekcja może osiągnąć dużą wartość… Był jakiś król, nie wiem dokładnie jakiego kraju i nie pamiętam, jak się nazywał, którego kolekcja warta była majątek!…Więc róbcie sobie te wymiany, ale bądźcie grzeczni.

Rosół odszedł, a Kleofas wyciągnął rękę ze znaczkiem do Rufusa.

– To jak, zgoda? – zapytał Kleofas.

– Nie – odpowiedział Rufus.

– Zgoda – ucieszył się Alcest.

A potem Euzebiusz podbiegł do Kleofasa i cap! – zabrał mu znaczek.

– Ja też zakładam kolekcję! – zawołał, śmiejąc się, Euzebiusz.

I zaczął uciekać. Kleofasowi za to wcale nie było do śmiechu i latał za Euzebiuszem, wołając, żeby ten wstrętny złodziej oddał mu znaczek. Wtedy Euzebiusz, nie zatrzymując się, polizał znaczek i przykleił go sobie na czole.

– Chłopaki! – wołał. – Patrzcie na mnie! Jestem list! Jestem list lotniczy!

I biegał z rozpostartymi rękami, wołając: ..Brrrum, brrum", ale Kleofasowi udało się podstawić mu nogę i Euzebiusz wywalił się.

Zaczęli się okropnie bić. no i przyleciał Rosół.

– Ooo! Wiedziałem, że nie powinienem wam ufać! – krzyknął Rosół. – Nie stać was na żadną inteligentną rozrywkę! Wy dwaj, marsz do kąta… A ty, Euzebiuszu, bądź tak uprzejmy i odklej ten idiotyczny znaczek, który masz na czole!

– Tak, ale niech pan mu powie, żeby uważał i nie podarł ząbków – powiedział Rufus. – Właśnie takiego mi brakuje.

I Rosół posłał go do kąta razem z Kleofasem i Euzebiuszem. Z kolekcjonerów został już tylko Gotfryd, Alcest i ja.

– E, chłopaki! Nie chcecie mojego znaczka? – zapytał Alcest.

– Zamienię twoje trzy znaczki na mój jeden – powiedział do mnie Gotfryd.

– Co ty, chory? – zapytałem. – Jak chcesz moje trzy znaczki, to sam daj mi trzy, cwaniaku! Daję jeden za jeden.

– Ja chętnie wymienię jeden na jeden – powiedział Alcest.

– I co mi z tego przyjdzie? – wzruszył ramionami Gotfryd. – To są takie same znaczki!

– To jak, nie chcecie mojego znaczka? – zapytał Alcest.

– Dam ci moje trzy – powiedziałem do Gotfryda – jak ty dasz mi za nie coś fajnego.

– Zgoda! – powiedział Gotfryd.

– No to jak nikt nie chce mojego znaczka, patrzcie, co z nim zrobię! – zawołał Alcest i podarł swoją kolekcję.

Kiedy przyszedłem do domu, zadowolony jak nie wiem co, tata zapytał:

– I co, młody filatelisto, jak tam twoja kolekcja?

– Fajowo – powiedziałem.

I pokazałem mu dwie kulki, które dostałem od Gotfryda.

MAKSENCJUSZ CZARODZIEJ

Zostaliśmy z chłopakami zaproszeni na podwieczorek do Maksencjusza. Bardzo nas to zdziwiło, bo Maksencjusz nigdy nikogo do siebie nie zaprasza. Jego mama nie życzy sobie tego, tym razem jednak, wytłumaczył nam Maksencjusz, jego wujek, ten, co jest marynarzem – chociaż ja myślę, że to bujda i że on wcale nie jest marynarzem – dał mu w prezencie czarodziejską szkatułkę. Ale to przecież żadna frajda robić czary, jak nikt nie patrzy, więc mama Maksencjusza zgodziła się, żeby nas zaprosił.

Kiedy przyszedłem, wszystkie chłopaki już były. Mama Maksencjusza podała podwieczorek: herbatę z mlekiem i kanapki.

Nic specjalnego. Więc żeśmy patrzyli, jak Alcest wsuwa dwie bułeczki z czekoladą, które zabrał z domu, ale jego nawet nie warto prosić, żeby dał gryza. Alcest jest dobrym kumplem i podzieli się z wami wszystkim pod warunkiem, że tego nie da się zjeść!

Po podwieczorku Maksencjusz zaprowadził nas do salonu, gdzie były rzędem ustawione krzesła. Zupełnie jak u Kleofasa, kiedy jego tata robił dla nas przedstawienie kukiełkowe.

Maksencjusz stanął za stołem, na którym leżała czarodziejska szkatułka, a potem otworzył szkatułkę pełną różnych rzeczy i wyjął z niej pałeczkę i dużą kostkę.

– Widzicie tę kostkę? – zapytał Maksencjusz. – Poza tym. że jest bardzo duża, niczym nie różni się od innych kostek…

– Nieprawda – powiedział Gotfryd. – Ona jest pusta, a w środku schowana jest druga kostka.

Maksencjusz otworzył usta i spojrzał na Gotfryda.

– Co ty tam wiesz? – zapytał.

– Wiem, bo w domu mam taką samą czarodziejską szkatułkę – odpowiedział Gotfryd. – Tata mi kupił za to, że nie dostałem pały z ortografii.

– Więc jest jakiś trik? – spytał Rufus.

– Nie, mój drogi, nie ma żadnego triku! – wrzasnął Maksencjusz. – Gotfryd to wstrętny kłamczuch!

– A właśnie że kostka jest pusta – powiedział Gotfryd. – Powtórz tylko, że jestem wstrętny kłamczuch, to dostaniesz w zęby!

Ale się nie pobili, bo do salonu weszła mama Maksencjusza.

Spojrzała na nas, postała chwilę, a potem wyszła, wzdychając i wynosząc wazon, który stał na kominku. Zaciekawił mnie ten numer z pustą kostką, więc podszedłem do stołu, żeby zobaczyć.

– Nie! – wrzasnął Maksencjusz. – Nie! Wracaj na swoje miejsce.

Mikołaj! Nie wolno oglądać z bliska!

– A dlaczego, jeśli można wiedzieć? – zapytałem.

– Bo na pewno jest jakiś trik – powiedział Rufus.

– Jasne! – zawołał Gotfryd – kostka jest pusta, więc jak ją położysz na stole, ta, która jest w środku…

– Jak nie przestaniesz – wrzasnął Maksencjusz – pójdziesz zaraz do domu!

A mama Maksencjusza weszła do salonu i wyniosła figurkę, która stała na pianinie.

Wtedy Maksencjusz zostawił kostkę i wziął coś, co wyglądało jak mały garnek.

– Ten garnek jest pusty – powiedział Maksencjusz, pokazując go nam.

I spojrzał na Gotfryda, ale Gotfryd tłumaczył właśnie Kleofasowi, który nic nie rozumiał, na czym polega numer z pustą kostką.

– Już wiem – ucieszył się Joachim – garnek jest pusty, a ty zrobisz tak, że wyleci z niego biały gołąb.

– Jeżeli mu się uda – powiedział Rufus – to znaczy, że jest jakiś trik.

– Gołąb?- spytał Maksencjusz.- Coś ty! Skąd ja ci wytrzasnę gołębia, idioto?

– Widziałem w telewizji czarodzieja i on ze wszystkiego wyczarowywał pełno gołębi. Sam jesteś idiota! – odpowiedział Joachim.

– Po pierwsze – zaczął Maksencjusz – nawet gdybym chciał, nie mógłbym z garnka wyczarować żadnego gołębia. Moja mama nie pozwala mi trzymać w domu zwierząt. Kiedyś przyniosłem mysz i była straszna draka. To kto jest idiota, jeśli można wiedzieć?

– Szkoda – westchnął Alcest – gołębie są fajne! Nieduże to, ale z groszkiem – palce lizać! Smakuje zupełnie jak kurczak.

– Ty jesteś idiota – powiedział Joachim do Maksencjusza. – Wiesz już, kto jest idiota?

Wtedy do pokoju weszła mama Maksencjusza. Myślę, że chyba podsłuchiwała pod drzwiami. Powiedziała, żebyśmy byli grzeczni i uważali na lampę, która stoi w kącie.

Wychodząc, wyglądała na okropnie zaniepokojoną…

– Czy z tym garnkiem – zapytał Kleofas – to tak jak z kostką? Też jest pusty?

– Nie – wyjaśnił Gotfryd. – On ma tylko podwójne dno.

– To taki trik. nie? – powiedział Rufus.

Wtedy Maksencjusz się obraził, oznajmił, że nie jesteśmy prawdziwymi kolegami, zamknął swoją szkatułkę i powiedział, że koniec ze sztuczkami. Nadął się cały i zrobiła się cisza. Wtedy wpadła do pokoju mama Maksencjusza.

– Co tu się dzieje? – zawołała. – Nie słychać was wcale.

– To przez nich – poskarżył się Maksencjusz. – Nie dają mi robić sztuk!

– Słuchajcie, moi drodzy – powiedziała mama Maksencjusza. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyście się bawili, ale musicie być grzeczni. W przeciwnym razie odeślę was do domu. Muszę teraz wyjść coś załatwić. Liczę na to, że zachowacie się jak duzi, rozsądni chłopcy. I uważajcie na zegar, który stoi na komodzie.

Mama Maksencjusza przyjrzała się nam uważnie i wyszła, wznosząc oczy do sufitu i kręcąc głową, jakby chciała powiedzieć „nie”.

– Dobra – powiedział Maksencjusz. – Widzicie tę białą kulkę?

Zaraz zrobię tak, że ona zniknie.

– To jakiś trik? – zapytał Rufus.

– Tak – wyjaśnił Gotfryd. – Zaraz ją schowa i wsadzi do kieszeni.

– Nie, mój drogi! – krzyknął Maksencjusz. – Nic podobnego!

Zrobię tak, że ona zniknie. Zobaczysz!

– E tam – powiedział Gotfryd – wcale nie zniknie, bo mówię ci, że wsadzisz ją sobie do kieszeni!

– To jak z tą białą kulką, zniknie w końcu czy nie? – zapytał Euzebiusz.

– Oczywiście, że by zniknęła – powiedział Maksencjusz – gdybym chciał. Ale nie chcę, bo nie jesteście prawdziwymi kolegami, i tyle! I moja mama ma rację, kiedy nazywa was bandą wandali!

– No proszę! A nie mówiłem! – zawołał Gotfryd. – Po to, żeby kulka zniknęła, trzeba być prawdziwym czarodziejem, a nie takim patałachem!

Wtedy Maksencjusz się obraził i podleciał do Gotfryda, żeby mu dać w zęby. Gotfrydowi to się nie spodobało, więc zrzucił na ziemię czarodziejską szkatułkę i zaczęli się z Maksencjuszem tłuc.

Było bardzo wesoło, dopóki nie weszła do salonu mama Maksencjusza. Nie wyglądała wcale na zachwyconą.

– Wszyscy do domu! Ale już! – krzyknęła.

Więc poszliśmy do domu i chociaż spędziliśmy fajne popołudnie, byłem trochę rozczarowany, bo bardzo chciałem zobaczyć, jak Maksencjusz robi swoje czarodziejskie sztuczki.

– E tam! – powiedział Kleofas. – Ja myślę, że Rufus ma rację.

Maksencjusz to nie to samo, co prawdziwi czarodzieje z telewizji.

On tylko zna różne triki.

A następnego dnia w szkole Maksencjusz ciągle jeszcze był na nas obrażony, bo kiedy pozbierał swoją czarodziejską szkatułkę, okazało się, że biała kulka zniknęła.

DESZCZ

Lubię, kiedy pada bardzo, bardzo duży deszcz. Wtedy nie idę do szkoły, tylko zostaję w domu i bawię się kolejką elektryczną. Ale dzisiaj deszcz nie był dosyć duży i musiałem iść do szkoły. Chociaż z deszczem i tak jest kupa śmiechu. Można podnosić głowę i otwierać usta, żeby połykać krople wody, można chodzić po kałużach i ochlapywać kolegów, można włazić pod rynny, a sami wiecie, jak to zimno, kiedy woda wpada za kołnierz, bo jasne, że nie warto włazić pod rynnę w płaszczu nieprzemakalnym zapiętym pod szyję. Szkoda tylko, że na przerwie nie dają nam wychodzić na podwórko, żebyśmy nie zmokli.

W klasie było zapalone światło i wszystko wyglądało jakoś dziwnie. Bardzo lubię patrzeć, jak krople wody na szybach ścigają się, która pierwsza spłynie w dół. Zupełnie jak rzeki. Potem zadzwonił dzwonek i pani powiedziała: „Dobrze, jest przerwa.

Możecie rozmawiać, ale bądźcie grzeczni".

Więc zaczęliśmy mówić wszyscy naraz i zrobił się okropny hałas.

Trzeba było głośno krzyczeć, żeby przekrzyczeć innych.

Pani westchnęła, wstała i zostawiając drzwi otwarte, wyszła na korytarz, żeby porozmawiać z innymi paniami, które nie są takie fajne jak ona, i dlatego staramy się za bardzo nie wyprowadzać jej z równowagi.

– Chłopaki! – zawołał Euzebiusz. – Zagramy w dwa ognie?

– Co ty, chory? – spytał Rufus. – Pani zrobi nam drakę, no i na pewno wybijemy szybę!

– Akurat – powiedział Joachim. – Wystarczy otworzyć okna!

To był świetny pomysł i wszyscy rzuciliśmy się do okien, oprócz Ananiasza, który powtarzał lekcję historii, czytając na głos, z rękami na uszach. Wariat z tego Ananiasza! Potem otworzyliśmy okna. Było fajnie, bo wiatr wpadał do klasy i deszcz strumieniami lał nam się na głowy. Nagle usłyszeliśmy głośny krzyk: to weszła do klasy nasza pani.

– Czy wyście powariowali! – zawołała. – Natychmiast pozamykać mi te okna!

– Bo właśnie mieliśmy grać w dwa ognie, proszę pani – wytłumaczył Joachim.

Wtedy pani powiedziała, że nie ma mowy, żebyśmy w klasie grali w piłkę. Kazała nam zamknąć okna i usiąść na swoich miejscach.

Tylko że, głupia sprawa, ławki pod oknem były zupełnie mokre, a z wodą to jest tak, że fajnie, jak leci na głowę, ale gorzej, kiedy trzeba w niej siadać. Pani podniosła ręce, powiedziała, że jesteśmy nieznośni i żebyśmy się jakoś ścieśnili na suchych ławkach.

Wtedy zrobiło się trochę szumu, bo każdy szukał sobie miejsca i w niektórych ławkach było po pięciu chłopaków, a jak się siedzi więcej niż we trzech, to i tak jest już bardzo ciasno. Ja siedziałem z Rufusem, Kleofasem i Euzebiuszem. A potem pani uderzyła linijką w biurko i krzyknęła: „Cisza!".Więc zrobiło się cicho, tylko Ananiasz, który nie usłyszał, dalej kuł historię. Muszę powiedzieć, że on był w ławce sam, bo nikt nie chce siedzieć z tym wstrętnym pupilkiem, chyba że ma być klasówka. A potem Ananiasz podniósł głowę, zobaczył panią i ucichł.

– Dobrze – powiedziała pani. – Nie chcę was więcej słyszeć. Kto się odezwie, będzie miał ze mną do czynienia! Zrozumiano? A teraz siadajcie, tylko nie wszyscy na kupie i po cichu!

Więc wszyscy żeśmy wstali i, nic nie mówiąc, zmieniliśmy miejsca. Lepiej było się nie wygłupiać, bo wyglądało na to, że nasza pani jest okropnie rozgniewana. Ja usiadłem z Gotfrydem, Maksencjuszem, Kleofasem i Alcestem i nie było nam za wygodnie, bo Alcest zajmuje strasznie dużo miejsca i wszędzie kruszy swoimi kanapkami. Pani popatrzyła na nas przez chwilę, westchnęła ciężko i znowu poszła rozmawiać na korytarz.

A potem Gotfryd wstał i narysował kredą na tablicy ludzika śmiesznego jak nie wiem co, chociaż bez nosa, i napisał: „Maksencjusz jest głupi". To rozśmieszyło wszystkich oprócz

Ananiasza, który znowu wkuwał historię, i Maksencjusza, który wstał i podszedł do Gotfryda, żeby mu dać w zęby. Gotfryd, rzecz jasna, oddał, ale ledwie żeśmy wstali i zaczęli krzyczeć, do klasy wpadła nasza pani, cała czerwona i wściekła. Nie widziałem jej tak rozgniewanej co najmniej od tygodnia. Potem spojrzała na tablicę, no i się zaczęło.

– Kto to narysował? – zapytała pani.

– Gotfryd – odpowiedział Ananiasz.

– Ty wstrętny skarżypyto! – wrzasnął Gotfryd. – Dostaniesz zaraz w zęby, zobaczysz!

– No! – zawołał Maksencjusz. – Przylej mu, Gotfryd!

Wtedy zrobiła się niesamowita draka. Pani okropnie się zezłościła i mnóstwo razy uderzyła linijką w biurko. Ananiasz zaczął krzyczeć i płakać. Wołał, że nikt go nie lubi, że to niesprawiedliwe, że wszyscy go wykorzystują, że umrze i poskarży się swoim rodzicom. Wszyscy stali i wrzeszczeli… Było okropnie wesoło.

– Siadać! – krzyknęła pani. – Ostatni raz mówię, siadać! Nie chcę was więcej słyszeć!

Więc usiedliśmy. Ja z Rufusem, Maksencjuszem i Joachimem.

Nagle do klasy wszedł dyrektor.

– Wstać! – powiedziała pani.

– Siadać! – powiedział dyrektor.

A potem spojrzał na nas i zapytał panią:

– Co tu się dzieje? Pani uczniów słychać w całej szkole! To nie do zniesienia! A poza tym dlaczego oni siedzą po czterech lub pięciu w ławce, podczas gdy inne ławki są puste? Niech każdy wraca na swoje miejsce!

Wstaliśmy wszyscy, ale pani powiedziała dyrektorowi o mokrych ławkach. Dyrektor zrobił zdziwioną minę i oznajmił, że dobrze, mamy wrócić na miejsca, które żeśmy opuścili. Więc usiadłem z Alcestem, Rufusem, Kleofasem, Joachimem i Euzebiuszem. Było nam strasznie ciasno. Dyrektor pokazał palcem tablicę i spytał:

– Kto to zrobił? No, szybko!

I Ananiasz nie zdążył nic powiedzieć, bo Gotfryd wstał, płacząc i mówiąc, że to nie jego wina.

– Za późno na żale i szlochy, drogie dziecko – powiedział dyrektor.

– Znalazłeś się na złej drodze: to droga, która prowadzi do więzienia. Ale ja cię oduczę mówienia brzydkich wyrazów i ubliżania kolegom! Przepiszesz mi pięćset razy to co napisałeś na tablicy. Zrozumiano?… A jeśli chodzi o resztę, to chociaż deszcz przestał padać, zabraniam wam dzisiaj wychodzić na dziedziniec.

To was trochę nauczy poszanowania dla dyscypliny. Pozostaniecie w klasie pod opieką pani nauczycielki!

A kiedy dyrektor sobie poszedł i w końcu usiedliśmy z Gotfrydem i Maksencjuszem w naszej ławce, powiedzieliśmy sobie, że pani jest naprawdę fajna i że nas bardzo lubi, chociaż czasem wyprowadzamy ją z równowagi. Bo przecież to ona wyglądała na najbardziej zmartwioną z nas wszystkich, kiedy się dowiedziała, że dzisiaj nie wolno nam będzie wyjść na podwórko!

SZACHY

W niedzielę było zimno i padał deszcz, ale mnie to nie przeszkadzało, bo byłem zaproszony na podwieczorek do Alcesta. Alcest to ten kolega, który jest bardzo gruby i strasznie lubi jeść.

My się zawsze z Alcestem łajnie bawimy, nawet jak się sprzeczamy.

Kiedy przyszedłem do Alcesta, drzwi otworzyła mi jego mama, bo Alcest z tatą siedzieli już przy stole i czekali na mnie z podwieczorkiem.

– Spóźniłeś się – powiedział Alcest.

– Nie mów z pełnymi ustami – upomniał go tata – i podaj mi masło.

Na podwieczorek każdy z nas dostał dwa kubki czekolady, ciastko z kremem, grzanki z masłem i z dżemem, kiełbasę i ser. Kiedy żeśmy skończyli, Alcest zapytał swojej mamy, czy możemy dostać trochę fasolki z obiadu, bo chciałby mi dać do spróbowania. Ale jego mama się nie zgodziła, bo to by nam popsuło apetyt na kolację, zresztą z obiadu i tak nic nie zostało. Ja w każdym razie nie byłem już głodny.

A potem wstaliśmy od stołu, żeby pójść się pobawić, a mama Alcesta powiedziała, że mamy być bardzo grzeczni i broń Boże nie robić bałaganu w pokoju, bo ona sprzątała całe rano.

– Będziemy się bawić pociągiem, samochodami, kulkami i piłką – wyliczył Alcest.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – powiedziała mama Alcesta.

– Nie chcę, żeby twój pokój wyglądał jak pobojowisko.

Wynajdźcie sobie jakieś spokojniejsze zabawy!

– Dobra, ale jakie? – zapytał Alcest.

– Mam pomysł – powiedział tata Alcesta. – Nauczę was najinteligentniejszej ze wszystkich gier! Idźcie do pokoju, zaraz do was przyjdę.

Więc poszliśmy do pokoju Alcesta, i rzeczywiście był tam niesamowity porządek! Potem zjawił się jego tata z pudełkiem szachów pod pachą.

– Szachy? – spytał Alcest. – Ale my nie umiemy w to grać!

– Właśnie – powiedział tata Alcesta. – Ja was nauczę. Zobaczycie, to coś wspaniałego!

I rzeczywiście szachy to bardzo ciekawa rzecz! Tata Alcesta pokazał nam, jak się ustawia figury na szachownicy – takiej samej jak do gry w warcaby, a w warcabach jestem świetny! – pokazał nam pionki, wieże, laufry, konie, króla i damę, powiedział, jakie ruchy trzeba wykonywać – a to wcale nie jest takie łatwe – i co robić, żeby zdobyć figury przeciwnika.

– To tak, jakby się biły dwie armie – dodał tata Alcesta - a wy byście byli generałami.

Potem tata Alcesta wziął po jednym pionku do każdej ręki, zamknął pięści i kazał mi wybierać. Dostałem białe i zaraz zaczęliśmy grać. Tata Alcesta, który jest bardzo fajny, został, żeby nam dawać rady i mówić, kiedy się pomylimy. Mama Alcesta zajrzała do pokoju i wyglądała na zadowoloną, widząc, że siedzimy przy biurku Alcesta i gramy sobie w najlepsze. A potem tata Alcesta przesunął laufra i śmiejąc się, oznajmił, że przegrałem.

– Nie szkodzi – powiedział. – Myślę, żeście zrozumieli. Teraz Mikołaj weźmie czarne i będziecie grali sami.

I wyszedł z mamą Alcesta. mówiąc, że najważniejsze to mieć odpowiednie podejście i czy naprawdę nie została jeszcze jakaś resztka fasolki.

W czarnych figurach przeszkadzało mi tylko to, że trochę się lepiły od dżemu, którym Alcest ma zawsze upaprane palce.

– Zaczyna się bitwa – powiedział Alcest. – Naprzód! Bum!

I posunął do przodu jeden pionek. Więc ja posunąłem konia. Z koniem jest najtrudniej, bo najpierw idzie prosto, a potem skręca w bok, ale też i najfajniej, bo może skakać.

– Lancelot nie lęka się nieprzyjaciół! – zawołałem.

– Naprzód! Bum, patabum! – odkrzyknął Alcest, naśladując bęben i przesuwając kilka pionków wierzchem dłoni.

– Ej! – powiedziałem. – Tak się nie robi!

– Broń się, jak umiesz, nędzniku! – zawołał Alcest, z którym w czwartek u Kleofasa oglądaliśmy w telewizji film pełen rycerzy i warownych zamków. Więc obiema rękami też posunąłem moje pionki, naśladując armatę i karabin maszynowy – tatatatata. Moje pionki zderzyły się z pionkami Alcesta i mnóstwo spadło na ziemię.

– Chwileczkę – powiedział do mnie Alcest – to się nie liczy!

Naśladowałeś karabin maszynowy, a w tamtych czasach karabinów maszynowych nie było. Tylko armaty – bum! albo szable – ciach, ciach! Jak mamy oszukiwać, to lepiej nie grać wcale.

Przyznałem Alcestowi rację i graliśmy dalej. Zrobiłem ruch laufrem, ale przeszkadzały mi te wszystkie pionki, które poprzewracały się na szachownicy. Wtedy Alcest palcem, jak przy grze w kulki – bum! – strzelił tym laufrem w mojego konia, no i koń się przewrócił. Więc ja zrobiłem to samo z wieżą, którą trafiłem w jego damę.

– Nie liczy się – powiedział Alcest. – Wieża posuwa się prosto, a tyś nią strzelił w bok, jak kto głupi!

– Zwycięstwo! – zawołałem. – Mamy ich! Naprzód, dzielni rycerze! Za króla Artura! Bum! Bum!

I palcami wystrzelałem mnóstwo figur. To było niesamowite.

– Czekaj – powiedział Alcest. – Palcami to żadna sztuka. Może weźmiemy kulki? Kulki to będą pociski, bum, bum!

– Tak – zgodziłem się – ale nie starczy miejsca na szachownicy.

– Spokojna głowa – powiedział Alcest. – Ty staniesz w jednym końcu pokoju, a ja w drugim. No i możemy pochować pionki za nogi od łóżka, od krzesła i od biurka.

I Alcest poszedł po kulki do szafy, w której był mniejszy porządek niż w pokoju, więc mnóstwo rzeczy wypadło na dywan. Wziąłem do jednej ręki czarny pionek, do drugiej – biały, zamknąłem pięści i kazałem Alcestowi wybierać. Dostał białe. Zaczęliśmy rzucać kulkami, wołając za każdym razem: „Bum!” ale nasze pionki były dobrze schowane i trudno było w nie trafić.

– Wiesz co – zaproponowałem – może weźmiemy wagony od twojej kolejki i samochody. Będą z nich fajne czołgi!

Alcest wyciągnął z szafy kolejkę i samochody, do środka wpakowaliśmy żołnierzy i zaczęliśmy jeździć czołgami – brum, brum!

– Tylko że – zmartwił się Alcest – jak żołnierze będą siedzieli w czołgach, nigdy nie uda nam się w nich trafić.

– Możemy ich zbombardować – powiedziałem.

Więc zaczęliśmy udawać samoloty. Z rękami pełnymi kulek biegaliśmy, wołając – brum!, a kiedy żeśmy przelatywali nad czołgami, puszczaliśmy kulki – bum! bum! Ale kulki spadały na wagony i na samochody, nic im nie robiąc. Więc Alcest poszedł po piłkę nożną, a mnie dał czerwono- niebieską piłkę plażową.

Zaczęliśmy rzucać piłkami w czołgi i było fantastycznie! Naraz Alcest strzelił za mocno. Piłka odbiła się od drzwi, spadła na biurko, przewróciła kałamarz – i na to weszła mama Alcesta.

Mama Alcesta okropnie się zezłościła. Alcestowi powiedziała, że wieczorem przy kolacji nie dostanie dokładki deseru, a mnie, że robi się późno i żebym lepiej wracał do swojej biednej mamy.

Kiedy wyszedłem, ciągle jeszcze słychać było krzyki u Alcesta, który właśnie dostawał burę od swojego taty.

Szkoda, że nie mogliśmy bawić się dalej, bo te szachy to naprawdę fajna rzecz! Jak tylko zrobi się ładnie, pójdziemy sobie pograć na placu.

Bo jasne, że szachy to nie jest gra, która nadaje się do grania w domu, bum, patabum, brum, bum!

LEKARZE

Kiedy dziś rano wszedłem na podwórko szkolne, podbiegł do mnie Gotfryd z okropnie wystraszoną miną. Słyszał, jak starsze chłopaki mówiły, że do szkoły przyjadą lekarze robić nam prześwietlenia. A potem zjawiła się reszta chłopaków.

– To bujda – powiedział Rufus. – Starsze chłopaki zawsze opowiadają bujdy.

– Co jest bujda? – zapytał Joachim. – Że dzisiaj przyjadą lekarze robić nam szczepienia – odpowiedział Rufus.

– Myślisz, że to nieprawda? – Joachim był okropnie zaniepokojony.

– Co nieprawda? – spytał Maksencjusz.

– Ze przyjadą lekarze robić nam operacje – odpowiedział Joachim.

– Ale ja nie chcę! – wrzasnął Maksencjusz.

– Czego nie chcesz? – zapytał Euzebiusz.

– Nie chcę, żeby mi wycinano ślepą kiszkę – odpowiedział Maksencjusz.

– Co to jest ślepa kiszka? – spytał Kleofas.

– To jest to, co mi wycięto, jak byłem mały – wyjaśnił Alcest – więc gwiżdżę sobie na lekarzy. – I zaczął gwizdać.

A potem Rosół – nasz opiekun – zadzwonił i ustawiliśmy się w pary. Wszyscy byliśmy bardzo przejęci, oprócz Alcesta, który gwizdał, i Ananiasza, który nic nie usłyszał, bo powtarzał lekcje.

Kiedy weszliśmy do klasy, pani oznajmiła:

– Dzieci, dzisiaj przyjdą do szkoły lekarze, żeby…

Ale nie mogła dokończyć, bo Ananiasz zerwał się z miejsca.

– Lekarze? – wrzasnął. – Ja nie chcę iść do lekarzy! Nie pójdę! Ja się poskarżę! Zresztą nie mogę iść. Jestem chory!

Pani uderzyła linijką w biurko i kiedy Ananiasz ryczał, mówiła dalej:

– Naprawdę nie wiem, co was tak niepokoi i dlaczego zachowujecie się jak małe dzieci. Zrobią wam tylko prześwietlenie. To wcale nie boli…

– Jak to? – powiedział Alcest. – Słyszałem, że będą wycinać ślepe kiszki! Jak ślepe kiszki, to zgoda, proszę bardzo, ale nie chcę słyszeć o żadnych prześwietleniach! – Ślepe kiszki? – ryknął Ananiasz i zaczął się tarzać po ziemi.

Pani się rozgniewała, znowu uderzyła linijką w biurko, upomniała Ananiasza, żeby się zachowywał spokojnie, bo jak nie, to dostanie pałę z geografii (akurat miała być geografia), i zagroziła, że pierwszego, który się odezwie, każe wyrzucić ze szkoły. Więc nikt już nic nie mówił, oprócz pani.

– Słuchajcie – tłumaczyła pani. – Prześwietlenie to jest po prostu takie zdjęcie, żeby zobaczyć, czy wasze płuca są zdrowe. Zresztą na pewno mieliście kiedyś robione prześwietlenie i wiecie, jak to wygląda. Więc bez kawałów, bo i tak was to nie ominie.

– Ale proszę pani – zaczął Kleofas – moje płuca…

– Zostaw swoje płuca w spokoju i chodź lepiej do tablicy powiedzieć nam, co wiesz na temat dopływów Loary – powiedziała pani.

Pani skończyła pytać Kleofasa i ledwo zdążyła posłać go do kąta, kiedy wszedł Rosół.

– Kolej na pani klasę – oznajmił.

– Doskonale – powiedziała pani. – Proszę wstać i po cichu ustawić się parami.

– Ukarani też? – zapytał Kleofas.

Ale pani nie mogła mu odpowiedzieć, bo Ananiasz znowu zaczął płakać i krzyczeć, że on nigdzie nie pójdzie, że gdyby wiedział, to przyniósłby od rodziców usprawiedliwienie, że je przyniesie jutro.

Obiema rękami trzymał się swojej ławki i wierzgał nogami na wszystkie strony. Więc pani westchnęła i podeszła do niego.

– Posłuchaj, Ananiaszu – powiedziała. – Zapewniam cię, że nie ma się czego bać. Nikt cię nawet nie dotknie. Zobaczysz, to bardzo zabawne. Lekarze przyjechali dużym autobusem, do którego wchodzi się po schodkach. W tym autobusie jest tak ładnie, że nawet sobie nie wyobrażasz. A poza tym, wiesz co? Jeżeli będziesz grzeczny, przyrzekam, że cię zapytam z arytmetyki.

– Z ułamków? – zapytał Ananiasz.

Pani odpowiedziała mu, że tak, więc Ananiasz puścił się ławki i stanął z nami, trzęsąc się okropnie i przez cały czas popłakując cicho: „Buuu, buuu, buuu".

Wychodząc na podwórko, minęliśmy starszych chłopaków, którzy wracali do klasy.

– Czy to boli? – zapytał ich Gotfryd.

– Okropnie! – odpowiedział jeden. – Piecze i szczypie, i drapie, a oni mają wielkie noże i wszędzie jest pełno krwi!

I poszli, śmiejąc się, a Ananiasz rzucił się na ziemię i zrobiło mu się niedobrze. Więc musiał przyjść Rosół, wziąć go na ręce i zanieść do gabinetu pielęgniarki. Przed bramą szkoły stał biały autobus, duży jak nie wiem co, z jednymi schodkami do wchodzenia z tyłu, a drugimi do wychodzenia z boku, na przodzie.

Bardzo fajny. Dyrektor rozmawiał z kimś w białym fartuchu.

– To właśnie ci – powiedział dyrektor – o których panu mówiłem.

– Może pan być spokojny, Panie Dyrektorze – uśmiechnął się lekarz. – Już my sobie z nimi poradzimy. Jesteśmy przyzwyczajeni. Wszystko odbędzie się w ciszy i spokoju.

A potem usłyszeliśmy straszny wrzask. To zbliżał się Rosół, ciągnąc za rękę Ananiasza.

– Sądzę – powiedział Rosół – że powinniście panowie zacząć od tego. Jest trochę nerwowy…

Wtedy jeden z lekarzy wziął Ananiasza na ręce, a Ananiasz kopał go bez przerwy, wrzeszcząc, żeby go puścić, że obiecano mu, że nikt go nie dotknie, że wszyscy kłamią i że on się poskarży policji.

A potem lekarz wszedł z Ananiaszem do autobusu. Usłyszeliśmy jeszcze jakieś krzyki, a potem gruby głos mówiący: „Tylko się nie ruszaj! Jak nie przestaniesz się wiercić, zabiorę cię do szpitala!".

Potem rozległo się: „Buuu, buuu, buuu" i zobaczyliśmy, jak bocznymi drzwiami, uśmiechnięty od ucha do ucha, wychodzi Ananiasz i pędem wraca do szkoły.

– Dobrze – powiedział jeden z lekarzy, ocierając twarz. – Pierwsza piątka, wystąp! Jak w wojsku!

Ale nikt się nie ruszył, więc lekarz pokazał palcem pięciu z nas.

– Ty, ty, ty, ty i ty! – powiedział.

– Dlaczego my, a nie on? – zapytał Gotfryd, pokazując na Alcesta.

– No właśnie! – zawołaliśmy chórem, Rufus, Kleofas, Maksencjusz i ja.

– Pan doktor powiedział, że ty, ty, ty, ty i ty – powiedział Alcest. – Nie mówił o mnie. Więc to ty masz tam iść i ty, i ty, i ty, i ty! A nie ja!

– Tak? No to jak ty nie pójdziesz, to ani on, ani on, ani on, ani on, ani ja też nie! – zawołał Gotfryd.

– Może już dość? – krzyknął lekarz. – Wy, pięciu, jazda do środka!

Ale szybko!

Więc weszliśmy do środka. W autobusie było bardzo fajnie!

Najpierw jeden z lekarzy zapisał nasze nazwiska. Potem kazano nam ściągnąć koszule, ustawiono kolejno za taką szybką i powiedziano, że już po wszystkim i żebyśmy się ubrali.

– W dechę ten autobus! – pochwalił Rufus.

– Widziałeś ten stolik? – zapytał Kleofas.

– Fajnie czymś takim podróżować! – powiedziałem.

– Jak to działa? – zapytał Maksencjusz.

– Nie dotykajcie niczego! – krzyknął któryś lekarz. – I wychodźcie już! Nie mamy czasu! No, jazda… Nie! Nie z tyłu! Tędy! Tędy!

Ale Gotfryd, Kleofas i Maksencjusz poszli wysiadać tyłem, wpadli na chłopaków, którzy właśnie wsiadali, i zrobił się okropny bałagan. A potem lekarz, co stał przy tylnych drzwiach, zatrzymał Rufusa, który obszedł autobus dookoła i chciał wsiadać znowu, i zapytał go, czy już nie był na prześwietleniu.

– Nie – powiedział Alcest – to ja już byłem na prześwietleniu.

– Jak się nazywasz? – zapytał doktor.

– Rufus – powiedział Alcest.

– Trzymajcie mnie! – zawołał Rufus.

– Ej, wy tam! Nie wchodźcie przednimi drzwiami – krzyknął któryś lekarz.

I lekarze dalej borykali się z mnóstwem chłopaków, którzy wsiadali i wysiadali, i z Alcestem, który tłumaczył jednemu z nich, że jego to nie warto, bo on już i tak nie ma ślepej kiszki. A potem z autobusu wychylił się kierowca i spytał, czy może ruszać, bo są okropnie spóźnieni.

– Ruszaj! – krzyknął jakiś lekarz w autobusie. – Wszyscy już byli, oprócz jednego: Alcesta, który widocznie jest nieobecny!

I autobus odjechał, a lekarz, który rozmawiał z Alcestem na chodniku, odwrócił się i zawołał: „Ej! Poczekajcie na mnie!

Poczekajcie na mnie!". Ale ci z autobusu go nie usłyszeli, może dlatego, żeśmy się wszyscy darli.

Lekarz był wściekły. Chociaż na dobrą sprawę byliśmy kwita. Oni nam zostawili jednego ze swoich lekarzy, ale zabrali jednego z naszych kolegów: Gotfryda, który został w autobusie.

NOWA KSIĘGARNIA

Tuż koło naszej szkoły, w miejscu gdzie przedtem była pralnia, otwarto nową księgarnię. Zaraz po lekcjach poszliśmy ją obejrzeć. Wystawa wyglądała bardzo fajnie. Było tam pełno czasopism, gazet, książek i wiecznych piór. Weszliśmy do środka, a pan z księgarni uśmiechnął się do nas serdecznie i powiedział:

– Proszę, proszę! Widzę, że mam klientów. Chodzicie do szkoły obok? Jestem pewien, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Ja nazywam się Escarbille.

– A ja Mikołaj – powiedziałem.

– A ja Rufus – powiedział Rufus.

– A ja Gotfryd – powiedział Gotfryd.

– Czy ma pan pismo „Problemy ekonomiczno- socjologiczne świata zachodniego?" – zapytał jakiś pan, który wszedł do księgarni.

– A ja Maksencjusz – powiedział Maksencjusz.

– Tak, tego… doskonale, mój maty… Służę szanownemu panu – powiedział pan Escarbille i zaczął grzebać w stosie czasopism, kiedy Alcest zapytał:

– Po ile są te zeszyty?

– Hmm? Co? – spytał pan Escarbille. – Ach, te? Pięćdziesiąt franków, mój mały.

– W szkole sprzedają nam takie po trzydzieści – powiedział Alcest.

Pan Escarbille przestał szukać pisma, odwrócił się i zapytał:

– Jak to po trzydzieści? Stukartkowe bruliony w kratkę?

– Nie – powiedział Alcest. – Te, które sprzedają w szkole, mają pięćdziesiąt kartek. Mogę obejrzeć ten zeszyt?

– Tak – powiedział pan Escarbille. – Ale wytrzyj sobie ręce. Cały jesteś umazany masłem.

– Więc ma pan te „Problemy ekonomiczno- socjologiczne świata zachodniego" czy nie? – zapytał ten pan.

– Ależ tak, proszę szanownego pana, ależ tak, zaraz znajdę – powiedział pan Escarbille. – Jestem tu od niedawna i jeszcze się dobrze nie urządziłem… A ty co tutaj robisz?

Alcest, który wszedł za ladę, wyjaśnił:

– Był pan zajęty, więc poszedłem sobie wziąć ten zeszyt, co pan mówi, że ma sto kartek.

– Nie! Nie dotykaj! Wszystko poprzewracasz! – krzyknął pan Escarbille. – Całą noc tu porządkowałem… Masz, trzymaj ten zeszyt i nie krusz wszędzie swoim rogalikiem!

A potem pan Escarbille wziął jakieś pismo i powiedział: - „Problemy ekonomiczno-socjologiczne świata zachodniego", proszę bardzo!

Ale pan, który chciał kupić pismo, już sobie poszedł, więc pan Escarbille westchnął ciężko i odłożył pismo na miejsce.

– O! – powiedział Rufus, dotykając palcem jakiegoś tygodnika – to pismo czyta co tydzień moja mama.

– Doskonale – ucieszył się pan Escarbille. – Teraz twoja mama będzie mogła je tutaj kupować.

– Ale – powiedział Rufus – mama nigdy nie kupuje tego pisma. Pani Boitafleur, co mieszka obok nas, przynosi je mamie, jak sama przeczyta. A pani Boitafleur też nie kupuje. Co tydzień dostaje je pocztą.

Pan Escarbille spojrzał na Rufusa bez słowa, a Gotfryd pociągnął mnie za rękę i powiedział: „Chodź zobaczyć". Poszedłem za nim, a tam pod ścianą leżały całe stosy ilustrowanych pism i magazynów. Coś niesamowitego! Zaczęliśmy oglądać okładki, a potem chcieliśmy zajrzeć do środka, ale niewiele można było zobaczyć, bo pisma były spięte

szczypczykami. Baliśmy się sami zdjąć szczypczyki, bo to by może nie spodobało się panu Escarbille, a nie chcieliśmy robić mu kłopotu.

– Patrz – powiedział Gotfryd – mam to w domu. To jest o lotnikach, brummm. Jeden jest bardzo dzielny, tylko za każdym razem jacyś faceci chcą coś zrobić z jego samolotem, żeby spadł. Ale kiedy samolot spada, w środku jest nie ten lotnik, ale jakiś kumpel. Więc inni lotnicy myślą, że to zrobił lotnik, żeby się pozbyć kumpla, ale to nieprawda, i potem lotnik wykrywa prawdziwych bandytów.

Nie czytałeś tego?

– Nie – powiedziałem. – Ale czytałem o kowboju i opuszczonej kopalni, wiesz? Kiedy przyjeżdża, jacyś zamaskowani faceci zaczynają do niego strzelać: Paf! paf! paf! paf!

– Co się stało? – zawołał pan Escarbille, który właśnie tłumaczył Kleofasowi, że nie wolno bawić się tym czymś, co się kręci i gdzie się kładzie książki, żeby ludzie mogli sobie wybierać i kupować.

– Opowiadam mu historię, którą czytałem – wyjaśniłem panu Escarbille.

– Nie ma pan tego? – zapytał Gotfryd.

– Jaką historię? – pan Escarbille przeczesał sobie włosy palcami.

– O takim kowboju – powiedziałem – co przyjeżdża do opuszczonej kopalni. A w kopalni czekają na niego jacyś faceci i…

– Czytałem to! – krzyknął Euzebiusz. – I ci faceci zaczynają strzelać: Paf! paf! paf!…

– Paf! A potem szeryf mówi: „Witaj, cudzoziemcze – dokończyłem.

– My tutaj nie lubimy ciekawskich…”.

– Tak – dodał Euzebiusz. – I wtedy kowboj wyciąga rewolwer – paf! paf! paf!

– Dosyć! – zawołał pan Escarbille.

– Ja tam wolę moją historię o lotniku – oświadczył Gotfryd. – Brumm! Bum! – Śmieszny jesteś z tą twoją historią o lotniku – powiedziałem. – Przy mojej historii o kowboju twoja historia o lotniku jest okropnie głupia!

– Tak? – rozzłościł się Gotfryd. – A właśnie, że twoja historia o kowboju jest najgłupsza na świecie!

– Chcesz dostać w nos? – zapytał Euzebiusz.

– Dzieci!… – krzyknął pan Escarbille.

A potem usłyszeliśmy straszny huk i to coś z książkami runęło na ziemię.

– Ja prawie nie dotykałem! – krzyknął Kleofas i zrobił się cały czerwony.

Pan Escarbille nie wyglądał wcale na zadowolonego.

– Starczy tego dobrego! – zawołał. – Nie dotykajcie niczego więcej.

Chcecie coś kupić czy nie?

– Dziewięćdziesiąt dziewięć… sto! – powiedział Alcest. – Rzeczywiście ten brulion ma sto kartek, nie nabrał mnie pan.

Fantastyczne! Chętnie bym go kupił.

Pan Escarbille wyjął zeszyt z rąk Alcesta. Było to łatwe, bo Alcest ma zawsze śliskie ręce. Zajrzał do zeszytu i powiedział:

– Coś ty narobił, niechluju? Pobrudziłeś wszystkie kartki. Zresztą, twoja strata. Płacisz pięćdziesiąt franków.

– Tak – zgodził się Alcest. – Ale ja nie mam pieniędzy. W domu przy obiedzie zapytam taty, czy mi da. Ale niech pan na to za bardzo nie liczy, bo wczoraj narozrabiałem i tata powiedział, że muszę ponieść karę.

A że zrobiło się późno, poszliśmy wszyscy, wołając: „Do widzenia, panie Escarbille!".

Pan Escarbille nam nie odpowiedział. Zajęty był oglądaniem zeszytu, który Alcest może od niego kupi.

Bardzo się cieszę z nowej księgarni i mam nadzieję, że teraz będziemy tu zawsze dobrze przyjmowani. Bo jak mówi mama: „Ze sprzedawcami trzeba żyć w przyjaźni. Wtedy o nas pamiętają i dobrze nas obsługują".

RUFUS JEST CHORY

Siedzieliśmy w klasie i właśnie rozwiązywaliśmy bardzo trudne zadanie z arytmetyki o gospodarzu, który sprzedawał mnóstwo jajek i jabłek, kiedy Rufus podniósł rękę. – Tak, Rufusie? – powiedziała pani.

– Czy mogę wyjść, proszę pani? – zapytał Rufus. – Jestem chory.

Pani kazała Rufusowi podejść, przyjrzała mu się uważnie, położyła mu rękę na czole i przyznała:

– Rzeczywiście, wyglądasz nie najlepiej. Możesz wyjść. Idź do gabinetu lekarskiego i poproś, żeby się tobą zajęli.

Rufus wyszedł z klasy strasznie zadowolony, nie kończąc zadania.

Wtedy Kleofas podniósł rękę i pani kazała mu odmienić czasownik: „Nie powinienem udawać, że jestem chory, starając się znaleźć wymówkę, aby zostać zwolnionym z rozwiązywania zadania arytmetycznego". We wszystkich czasach i we wszystkich trybach.

Na przerwie zobaczyliśmy na podwórku Rufusa. Podeszliśmy do niego.

– Byłeś w gabinecie? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział Rufus. – Schowałem się i przeczekałem do pauzy.

– A dlaczego nie byłeś w gabinecie? – zapytał Euzebiusz.

– Nie ma głupich – powiedział Rufus. – Ostatnim razem, jak byłem w gabinecie, posmarowali mi jodyną kolano i to okropnie szczypało.

Więc Gotfryd zapytał Rufusa, czy naprawdę jest chory, a Rufus zapytał Gotfryda, czy chce dostać w zęby, co z kolei rozśmieszyło Kleofasa. Nie pamiętam już dobrze, co było dalej, ale nawet się nie obejrzałem, jak tłukliśmy się wszyscy dookoła Gotfryda, który usiadł i wołał: „Dawaj! Dawaj! Dawaj!".

Oczywiście Alcest i Ananiasz jak zwykle się nie bili. Ananiasz dlatego, że powtarzał lekcje, zresztą jego i tak nie można lać, bo nosi okulary. Alcestowi zostały jeszcze dwie kanapki i chciał je zjeść przed końcem przerwy.

A potem przybiegł pan Mouchabiere. Pan Mouchabiere to nasz nowy opiekun. Nie jest jeszcze laki stary i pomaga Rosołowi, który jest naszym prawdziwym opiekunem. Bo nawet jak jesteśmy dosyć grzeczni, pilnowanie nas na przerwie to straszna robota.

– No co znowu, dzikusy? – spytał pan Mouchabiere. – Zostaniecie mi wszyscy po lekcjach!

– Ja nie – powiedział Rufus. – Ja jestem chory.

– Akurat – powiedział Gotfryd.

– Chcesz dostać w zęby? – zapytał Rufus.

– Cisza! – krzyknął pan Mouchabiere. – Cisza, bo zobaczycie, że wszyscy będziecie chorzy!

Więc przestaliśmy rozmawiać, a pan Mouchabiere kazał Rufusowi podejść.

– Co ci jest? – zapytał.

Rufus powiedział, że nie czuje się dobrze.

– Mówiłeś o tym rodzicom? – zapytał pan Mouchabiere.

– Tak – odpowiedział Rufus. – Mówiłem rano mamie.

– W takim razie – zdziwił się pan Mouchabiere – dlaczego mama pozwoliła ci iść do szkoły?

– No bo – wytłumaczył Rufus – ja codziennie mówię mojej mamie, że nie czuję się dobrze. Więc skąd ona ma wiedzieć? Ale tym razem to naprawdę…

Pan Mouchabiere popatrzył na Rufusa, podrapał się po głowie i powiedział, że musi iść do gabinetu lekarskiego.

– Nie! – wrzasnął Rufus.

– Jak to, nie? – zapytał pan Mouchabiere. – Jeżeli jesteś chory, musisz iść do gabinetu. I jak ci coś mówię, masz się mnie słuchać!

Pan Mouchabiere chwycił Rufusa za rękę, ale Rufus zaczął wrzeszczeć: „Nie! Nie! Nie pójdę! Nie pójdę!", i płacząc, tarzał się po ziemi.

– Niech pan go nie bije – powiedział Alcest, który właśnie skończył swoje kanapki. – Nie widzi pan, że jest chory?

Pan Mouchabiere popatrzył na Alcesta okrągłymi oczami.

– Ale ja go nie… – zaczął mówić, a potem zrobił się cały czerwony, wrzasnął na Alcesta, żeby pilnował swojego nosa, i kazał mu zostać po lekcjach.

– To już szczyt! – krzyknął Alcest. – Ja mam zostawać po lekcjach dlatego, że ten idiota jest chory?

– Chcesz w zęby? – spytał Rufus i przestał płakać.

– Akurat – powiedział Gotfryd.

I wszyscy naraz zaczęliśmy krzyczeć i rozmawiać, Rufus usiadł, żeby się nam przyglądać, i w końcu przyleciał Rosół.

– Jak tam, panie Mouchabiere? – spytał Rosół. – Ma pan jakieś kłopoty?

– To przez Rufusa, który jest chory – wyjaśnił Euzebiusz.

– O nic cię nie pytałem – powiedział Rosół. – Panie Mouchabiere, proszę ukarać tego ucznia.

I pan Mouchabiere kazał Euzebiuszowi zostać po lekcjach, co ucieszyło Alcesta, bo zawsze fajniej, jak się zostaje po lekcjach z innymi chłopakami.

A potem pan Mouchabiere wytłumaczył Rosołowi, że Rufus nie chce iść do gabinetu lekarskiego i że Alcest ośmielił się powiedzieć mu, żeby nie bił Rufusa, i że on wcale nie bił Rufusa, i że jesteśmy nieznośni, nieznośni, nieznośni! Pan Mouchabiere powtórzył to trzy razy, a za ostatnim razem jego głos podobny był do głosu mamy, kiedy ją doprowadzę do szału.

Rosół potarł ręką brodę, a potem wziął pana Mouchabiere pod pachę, odprowadził go trochę na bok, położył mu rękę na ramieniu i długo coś do niego szeptał. A potem Rosół i pan Mouchabiere znowu do nas podeszli.

– Zobaczycie, drogi kolego – powiedział Rosół z szerokim uśmiechem na ustach.

I kiwnął palcem na Rufusa.

– Będziesz tak uprzejmy i pójdziesz ze mną do gabinetu lekarskiego. Tylko bez komedii, zgoda?

– Nie! – wrzasnął Rufus. I zaczął się tarzać po ziemi, płacząc i krzycząc: „Nigdy! Za nic na świecie!".

– Nie trzeba go zmuszać – powiedział Joachim.

No i zaczęła się niesamowita draka. Rosół zrobił się cały czerwony, kazał zostać po lekcjach Joachimowi i Maksencjuszowi, który się śmiał. Zdziwiło mnie tylko, że teraz szeroki uśmiech pojawił się na ustach pana Mouchabiere.

A potem Rosół wrzasnął na Rufusa:

– Do gabinetu! W tej chwili! Bez dyskusji!

A Rufus zobaczył, że nie ma żartów, i powiedział, że dobrze, zgoda, może iść, ale pod warunkiem, że mu nie będą smarowali kolan jodyną.

– Jodyną? – zdziwił się Rosół. – Nikt cię nie będzie smarował jodyną. Ale jak wyzdrowiejesz, zgłosisz się do mnie. Będę miał z tobą do pogadania. A teraz proszę iść z panem Mouchabiere.

Więc wszyscy ruszyliśmy do gabinetu, a Rosół zaczął krzyczeć:

– Nie wszyscy! Tylko Rufus! Gabinet lekarski to nie szkolne podwórko! Poza tym wasz kolega może być zaraźliwy!

To rozśmieszyło okropnie nas wszystkich, oprócz Ananiasza, który zawsze się boi, że się zarazi od innych.

A potem Rosół zadzwonił na lekcję i weszliśmy do klasy, a pan Mouchabiere poszedł odprowadzić Rufusa do domu. Szczęściarz z tego Rufusa! Akurat była gramatyka.

A ta choroba to na szczęście nic poważnego!

Rufus i pan Mouchabiere mają odrę…

LEKKOATLECI

Nie wiem, czy już wam mówiłem, że w naszej dzielnicy jest pusty plac, gdzie czasem z chłopakami chodzimy się bawić. Ten plac jest fantastyczny! Pełno tam trawy i kamieni, jest też stary materac i samochód, który nie ma kół, ale i tak jest bardzo fajny i służy nam za samolot – brum – albo autobus – tutut. Są puszki i czasem koty, ale z nimi trudno się bawić, bo jak nas zobaczą, to zaraz uciekają.

Siedzieliśmy z chłopakami na placu i zastanawialiśmy się, w co się bawić, bo Alcestowi zabrano piłkę do końca okresu.

– Bawimy się w wojnę? – zapytał Rufus.

– Wiesz przecież – powiedział Euzebiusz – że za każdym razem, jak mamy bawić się w wojnę, kończy się na bijatyce, bo nikt nie chce być nieprzyjacielem.

– Mam pomysł! – zawołał Kleofas. – Zrobimy zawody lekkoatletyczne.

I Kleofas wytłumaczył nam, że widział raz takie zawody w telewizji i że to bardzo fajne. Że jest mnóstwo dyscyplin i wszyscy robią naraz mnóstwo rzeczy, a najlepsi zostają mistrzami, wchodzą na takie schodki i dostają medale.

– A skąd weźmiesz schodki i medale? – zapytał Joachim.

– To będzie tylko na niby – odpowiedział Kleofas.

Pomysł był dobry, więc żeśmy się zgodzili.

– Fajnie! – ucieszył się Kleofas. – Najpierw urządzimy zawody w skoku wzwyż.

– Ja nie skaczę – oznajmił Alcest.

– Musisz skakać – powiedział Kleofas. – Wszyscy muszą skakać!

– Nie. mój drogi – upierał się Alcest. – Przecież widzisz, że jem.

Jak zacznę skakać, zrobi mi się niedobrze. A jak mi się zrobi niedobrze, to nie będę mógł skończyć kanapek przed kolacją. Nie skaczę!

– Dobra – zgodził się Kleofas. – Będziesz trzymał sznurek, przez który będziemy skakali. Bo musimy mieć sznurek.

Więc zaczęliśmy szukać po kieszeniach. Znaleźliśmy kulki, guziki, znaczki i jednego cukierka, wszystko, tylko nie sznurek.

– Weźmy po prostu czyjś pasek – zaproponował Gotfryd.

– Co ty – skrzywił się Rufus. – Nie można dobrze skakać, jak trzeba jednocześnie przytrzymywać sobie spodnie.

– Alcest nie skacze – powiedział Euzebiusz. – Niech nam pożyczy swój pasek.

– Ja nie noszę paska – pochwalił się Alcest. – Moje spodnie same się trzymają.

– Poszukam na ziemi, może uda mi się znaleźć kawałek sznurka – powiedział Joachim.

Ale Maksencjusz oświadczył, że szukanie sznurka na placu to straszna robota, że nie możemy stracić całego popołudnia na szukanie, więc lepiej wymyślić coś innego.

– E, chłopaki! – zawołał Gotfryd. – Robimy konkurs, kto dłużej chodzi na rękach? Patrzcie na mnie!

I Gotfryd zaczął chodzić na rękach, a on to robi bardzo dobrze.

Ale Kleofas powiedział, że nigdy nie widział na spotkaniach lekkoatletycznych zawodów w chodzeniu na rękach i że jest idiota.

– Idiota? Kto jest idiota? – zapytał Gotfryd, przestając chodzić.

A potem Gotfryd stanął na nogach i zaczął się bić z Kleofasem.

– Słuchajcie, chłopaki – powiedział Rufus. – Po to, żeby się bić i robić wygłupy, nie warto było przychodzić na plac. Od tego jest szkoła.

A ponieważ miał rację, Kleofas i Gotfryd przestali się bić i Gotfryd oznajmił Kleofasowi, że w każdej chwili rozłoży go na cztery łopatki.

– Nie boję się ciebie, Bill – powiedział Kleofas. – Na ranczo wiemy, jak się obchodzić z takimi kojotami jak ty.

– To jak? – spytał Alcest. – Bawimy się w kowbojów czy skaczecie?

– Widziałeś kiedy, żeby ktoś skakał bez sznurka? – zapytał Maksencjusz.

– Taaak, chłopcze – powiedział Gotfryd. – No to wyciągaj spluwę!

I Gotfryd: pach! pach! – zaczął strzelać z palca jak z rewolweru, a Rufus złapał się obiema rękami za brzuch, krzyknął: „Trafiłeś mnie, Tom!" – i upadł na trawę.

– Jak nie możemy skakać – powiedział Kleofas – to urządzimy biegi.

– Gdybyśmy mieli sznurek – westchnął Maksencjusz – można by zrobić bieg przez płotki.

Ale Kleofas powiedział, że nie mamy sznurka, więc zrobimy bieg na sto metrów – od płotu do samochodu.

– A to jest sto metrów? – zapytał Euzebiusz.

– Czy to nie wszystko jedno? – roześmiał się Kleofas. – Pierwszy, który przybiegnie do samochodu, wygra bieg na sto metrów i koniec.

Wtedy Maksencjusz powiedział, że to nie będzie tak jak w prawdziwych biegach na sto metrów, bo w prawdziwych biegach na mecie jest sznurek i zwycięzca przerywa ten sznurek własną piersią, Kleofas poradził Maksencjuszowi, żeby odczepił się od tego sznurka, bo zaczyna być nudny, Maksencjusz odpowiedział mu, że jak się nie ma sznurka, to lepiej się nie brać za urządzanie zawodów lekkoatletycznych, a Kleofas wrzasnął, że nie ma sznurka, ale za to ma pięść i zaraz przyłoży nią Maksencjuszowi w łeb. Maksencjusz powiedział mu, żeby tylko spróbował, i Kleofasowi by się udało, gdyby Maksencjusz najpierw go nie kopnął.

Kiedy skończyli się bić, Kleofas był bardzo zły. Krzyczał, że nie mamy pojęcia o lekkoatletyce i że jesteśmy głupi. W końcu przyleciał Joachim i zawołał, strasznie zadowolony:

– Chłopaki! Znalazłem kawałek drutu!

Więc Kleofas powiedział, że bardzo fajnie, zawody trwają dalej, a ponieważ wszyscy mają już dosyć skoków i biegów, to będziemy rzucać młotem. Kleofas wytłumaczył nam, że młot to nie jest taki zwykły młotek, ale ciężarek przywiązany do sznurka, który trzeba rozkręcić bardzo szybko, a potem puścić. Ten, kto najdalej rzuci, zostaje mistrzem. Kleofas zrobił młot z kawałka drutu i przywiązanego na końcu kamienia.

– Ja zaczynam, bo to był mój pomysł – powiedział Kleofas. – Zobaczycie, co to będzie za rzut!

I zaczął kręcić się w kółko z młotem w ręce, a potem go puścił.

Przerwaliśmy spotkanie lekkoatletyczne i Kleofas oznajmił, że jest mistrzem. Ale inne chłopaki mówiły, że nie, że oni nie rzucali młotem, więc nie wiadomo, kto wygrał.

Ja jednak myślę, że Kleofas miał rację. I tak by wygrał, bo to był fantastyczny rzut – z placu aż na wystawę sklepu pana Companiego!

TAJEMNY SZYFR

Na pewno zauważyliście, że jak się chce porozmawiać z kolegami na lekcji, to ciągle ktoś przeszkadza. Oczywiście można rozmawiać z kolegą, który siedzi obok. Ale nawet jak człowiek stara się mówić po cichu, to pani zaraz słyszy i mówi: „Skoro masz tyle do powiedzenia, chodź do tablicy, zobaczymy, czy nadal będziesz taki rozmowny!", i pyta o departamenty 2 i ich stolice, no

i draka gotowa. Można też posyłać sobie kartki, na których pisze się to, co się chciało powiedzieć. Ale prawie zawsze pani widzi, jak ktoś podaje kartkę, i każe ją sobie dać, a potem zanieść do dyrektora. A ponieważ na kartce jest napisane: „Rufus jest głupi, podaj dalej" albo: „Euzebiusz jest świnia, podaj dalej", więc dyrektor mówi, że zostaniecie nieukami, skończycie w więzieniu, sprawicie wielką przykrość waszym rodzicom, którzy wypruwają z siebie żyły, abyście byli dobrze wychowani. A potem za karę każe zostać po lekcjach!

Dlatego też dzisiaj rano na pierwszej pauzie okropnie nam się spodobał pomysł Gotfryda.

– Wymyśliłem fantastyczny szyfr – powiedział nam Gotfryd. – To taki tajemny szyfr, który będziemy rozumieć tylko my, chłopaki z naszej paczki.

I pokazał nam: na każdą literę robi się jakiś ruch. Na przykład: palec na nosie – to litera „a", palec na lewym oku – to „b", palec na prawym oku – to „c" Na każdą literę inny ruch: drapiemy się w ucho, pocieramy brodę, klepiemy się po głowie, i tak aż do „z", kiedy robimy zeza. Niesamowite!

Kleofas nie był do końca przekonany. Powiedział, że dla niego już zwyczajny alfabet jest tajemnym szyfrem i że zamiast się uczyć ortografii, żeby porozmawiać z chłopakami, woli poczekać na przerwę i powiedzieć nam, co ma nam do powiedzenia. Ananiasz oczywiście nie chciał nawet słyszeć o żadnym tajemnym szyfrze.

On jest najlepszym uczniem i pupilkiem, więc na lekcjach woli słuchać tego, co mówi pani, albo odpowiadać przy tablicy. Wariat z tego Ananiasza!

Ale z resztą chłopaków uważaliśmy, że szyfr jest bardzo dobry. A poza tym taki tajemny szyfr to bardzo pożyteczna rzecz. Na przykład jak się walczy z nieprzyjaciółmi, można sobie wszystko powiedzieć, a oni nic nie rozumieją i my zwyciężamy.

Więc poprosiliśmy Gotfryda, żeby nas nauczył swojego szyfru.

Ustawiliśmy się wszyscy dookoła, a on powiedział, żebyśmy go naśladowali.

Gotfryd przyłożył palec do nosa i my przyłożyliśmy palce do nosów. Gotfryd przyłożył palec do oka i my przyłożyliśmy palce do oczu. A kiedy żeśmy wszyscy robili zeza, przyszedł pan Mouchabiere. Pan Mouchabiere to nasz nowy opiekun, trochę starszy od starszych chłopaków, ale nie bardzo. Podobno po raz pierwszy pracuje w szkole.

– Słuchajcie! – krzyknął pan Mouchabiere. – Nie chcę pytać, co wam strzeliło do głowy z tymi głupimi minami. Powiem tylko, że jeśli nie przestaniecie, wszyscy przyjdą mi w czwartek siedzieć za karę w szkole! Zrozumiano?

I poszedł sobie.

– Dobra – powiedział Gotfryd. – Zapamiętaliście szyfr?

– Mnie się tylko nie podoba – przyznał się Joachim – ten pomysł z prawym i lewym okiem na „b" i „c". Zawsze mi się myli prawa i lewa strona. Zupełnie jak mamie, kiedy prowadzi samochód taty.

– E tam, nie szkodzi – powiedział Gotfryd.

– Jak to, nie szkodzi? – oburzył się Joachim. – Jeżeli będę chciał powiedzieć na ciebie: „Cymbał", a powiem: „Bymcał", to nie to samo.

– Na kogo chcesz powiedzieć: „Cymbał", cymbale? – zapytał Gotfryd.

Ale nie zdążyli się pobić, bo pan Mouchabiere zadzwonił na koniec przerwy. Coraz krótsze są te przerwy z panem Mouchabiere!

Ustawiliśmy się w pary i Gotfryd szepnął:

– Na lekcji prześlę wam jakąś wiadomość, a na następnej przerwie zobaczymy, kto zrozumiał. Uprzedzam jednak: żeby należeć do paczki, trzeba poznać tajemny szyfr!

– A to doskonale! – zawołał Kleofas. – Pan sobie postanowił, że jak nie będę znał jego szyfru, który jest do niczego, to przestanę należeć do paczki! Moje gratulacje!

Wtedy pan Mouchabiere powiedział do Kleofasa:

– Odmienisz mi czasownik: „Nie powinienem rozmawiać, kiedy stoję w parze, zwłaszcza jeśli przez całą przerwę miałem dość czasu na opowiadanie bredni". W trybie oznajmującym i rozkazującym.

– Gdybyś mówił szyfrem, nie zostałbyś ukarany – powiedział Alcest i pan Mouchabiere zadał mu to samo. Z Alcestem zawsze jest kupa śmiechu!

W klasie pani kazała nam wyjąć zeszyty i przepisywać z tablicy zadania do rozwiązania w domu. Bardzo mnie to zmartwiło, szczególnie jak pomyślałem o tacie, bo kiedy wraca z biura, jest zmęczony i nie ma ochoty na robienie zadań z arytmetyki. A potem, kiedy pani pisała na tablicy, odwróciliśmy się wszyscy do Gotfryda i czekaliśmy, aż zacznie przesyłać nam swoją wiadomość. Gotfryd zaczął robić różne ruchy. Muszę przyznać, że wcale nie było łatwo go zrozumieć, bo robił je bardzo szybko, potem przestawał, żeby pisać w zeszycie, a potem, ponieważ ciągle żeśmy na niego patrzyli, znowu robił jakieś ruchy.

Wyglądał okropnie śmiesznie, kiedy pakował sobie palce do uszu i klepał się po głowie.

Strasznie długa była ta wiadomość od Gotfryda i byliśmy trochę źli, bo przez to nie mogliśmy przepisywać zadań. Baliśmy się, że przegapimy jakieś znaki i potem nic nie zrozumiemy. Więc przez cały czas musieliśmy patrzeć na Gotfryda, który siedzi z tyłu, na końcu klasy.

A potem Gotfryd zrobił „d", drapiąc się po głowie, „n", wyciągając język, otworzył szeroko oczy i przerwał nadawanie.

Wtedy wszyscy żeśmy się odwrócili i zobaczyliśmy, że pani przestała pisać i patrzy na Gotfryda.

– Tak, Gotfrydzie – powiedziała pani. – Robię to samo, co twoi koledzy: przyglądam się twoim błazeństwom. Ale już starczy, prawda? Więc pójdziesz do kąta, zostaniesz w klasie na przerwie, a na jutro napiszesz mi sto razy: „Nie powinienem błaznować w czasie lekcji i rozpraszać uwagi kolegów, przeszkadzając im w pracy".

Nic żeśmy nie zrozumieli z wiadomości Gotfryda. Więc po wyjściu ze szkoły czekaliśmy na niego. Przyszedł okropnie zły.

– Co nam mówiłeś na lekcji? – zapytałem.

– Odczepcie się ode mnie! – krzyknął Gotfryd. – A w ogóle to koniec z tajemnym szyfrem! Nie rozmawiam z wami, i już!

Następnego dnia Gotfryd wytłumaczył nam swoją wiadomość.

Mówił nam: „Przestańcie się tak wszyscy na mnie gapić, bo pani zobaczy i wpadnę".

URODZINY JADWINI

Dzisiaj zostałem zaproszony na urodziny do Jadwini. Jadwinia jest dziewczyną, ale jest bardzo fajna. Ma żółte włosy, niebieskie oczy, jest cała różowa i jest córką państwa Courteplaque, naszych sąsiadów. Pan Courteplaque pracuje jako kierownik działu z butami w domu towarowym „Mały Ciułacz", a pani Courteplaque gra na pianinie i śpiewa zawsze to samo: piosenkę z mnóstwem krzyków, które słychać u nas dobrze każdego wieczora.

Mama kupiła dla Jadwini prezent: kuchnię z rondlami i sitkami.

Zastanawiam się, czy naprawdę można się czymś takim bawić. A potem nałożyła mi granatowe ubranko i krawat, uczesała mnie, posmarowała mi włosy brylantyną, powiedziała, że mam być bardzo grzeczny – jak prawdziwy mały mężczyzna – i odprowadziła mnie do Jadwini. Bardzo lubię chodzić na urodziny i bardzo lubię Jadwinię. Oczywiście nie na wszystkich urodzinach spotyka się takich chłopaków jak Alcest, Gotfryd, Euzebiusz, Rufus, Kleofas, Joachim czy Maksencjusz, z którymi chodzę do szkoły, ale zawsze to jakaś rozrywka. Są ciastka, można się bawić w kowbojów, w policjantów i złodziei, no i jest fajnie.

Drzwi otworzyła mama Jadwini i na mój widok zaczęła wykrzykiwać, jakby była zdziwiona, że przyszedłem. A przecież sama telefonowała do mamy, żeby mnie zaprosić! Była bardzo miła. powiedziała, że jestem słodki, a potem zawołała Jadwinię, żeby zobaczyła, jaki śliczny prezent jej przyniosłem. No i przyszła Jadwinia strasznie różowa, w białej sukience, która wszędzie miała pełno zakładek, naprawdę bardzo fajnej. Okropnie głupio było mi dawać jej prezent, bo byłem pewny, że nie będzie się jej podobał, i zgadzałem się z panią Courteplaque, kiedy mówiła mamie, że doprawdy nie trzeba było. Ale wyglądało na to, że Jadwinia jest z kuchni zadowolona. Dziwne są te dziewczyny! A potem mama sobie poszła, powtarzając jeszcze raz, żebym był bardzo grzeczny.

W pokoju Jadwini były już dwie dziewczyny w sukienkach z mnóstwem zakładek. Nazywały się Melania i Eudoksja. Jadwinia powiedziała mi, że to jej dwie najlepsze przyjaciółki. Podaliśmy sobie ręce, potem usiadłem w kącie na fotelu, a Jadwinia pokazywała kuchnię swoim najlepszym przyjaciółkom. Melania powiedziała, że ma taką samą, tylko ładniejszą, a Eudoksja, że kuchnia Melanii na pewno nie jest taka ładna jak serwis, który dostała na imieniny. I wszystkie trzy zaczęły się kłócić.

A potem ktoś dzwonił do drzwi, kilka razy, i przyszło mnóstwo dziewczyn, wszystkie w sukienkach z zakładkami, z głupimi prezentami, a jedna czy dwie przyniosły swoje lalki. Gdybym wiedział wcześniej, wziąłbym ze sobą piłkę.

W końcu pani Courteplaque powiedziała:

– No, wydaje mi się, że wszyscy już są. Możemy siadać do stołu.

Jak się zorientowałem, że jestem jedynym chłopakiem, miałem wielką ochotę wrócić do domu, ale zabrakło mi odwagi. Kiedy weszliśmy do jadalni, było mi bardzo gorąco w twarz. Pani Courteplaque posadziła mnie między Leontyną i Bertą, które też, powiedziała mi Jadwinia, są jej najlepszymi przyjaciółkami.

Pani Courteplaque włożyła nam na głowy papierowe czapki. Moja była szpiczasta, jak u klauna, i trzymała się na gumce. Wszystkie dziewczyny zaczęły się śmiać na mój widok, a mnie zrobiło się jeszcze bardziej gorąco w twarz i okropnie ściskał mnie krawat.

Podwieczorek był niezły: ciasteczka i czekolada. Przyniesiono też tort ze świeczkami. Jadwinia dmuchnęła, a wszystkie dziewczyny klaskały w ręce. Tylko dziwna rzecz, nie bardzo chciało mi się jeść. A przecież, nie licząc śniadania, obiadu i kolacji, najbardziej lubię właśnie podwieczorek. Prawie lak samo jak kanapki, które jemy na przerwie.

Za to dziewczyny dużo jadły i przez cały czas mówiły wszystkie naraz. Chichotały i udawały, że dają tort lalkom.

W końcu pani Courteplaque powiedziała, żebyśmy przeszli do salonu. Ja znów usiadłem w kącie na fotelu.

Później Jadwinia pośrodku salonu, z rękami na plecach, deklamowała coś o ptaszynach. Kiedy skończyła, wszyscy żeśmy zaczęli klaskać i pani Courteplaque zapytała, czy ktoś inny nie chciałby czegoś zrobić, powiedzieć, zatańczyć albo zaśpiewać.

– Może Mikołajek – pokazała na mnie. – Taki miły chłopczyk na pewno zna jakiś wierszyk.

Miałem wielką gulę w gardle i pokręciłem głową, że nie, a one się wszystkie roześmiały, bo w tej szpiczastej czapce musiałem wyglądać jak pajac. Wtedy Berta dała potrzymać swoją lalkę Leokadii i siadła do pianina. Grała coś z wyciągniętym językiem, ale zapomniała końca i rozpłakała się. Więc pani Courteplaque wstała, powiedziała, że to było bardzo ładne, pocałowała Bertę i poprosiła, żebyśmy klaskali, no i one wszystkie klaskały.

A potem Jadwinia ułożyła prezenty pośrodku pokoju i dziewczyny zaczęły piszczeć i chichotać, chociaż nie było tam ani jednej prawdziwej zabawki! Tylko moja kuchnia, druga kuchnia, większa, maszyna do szycia, sukienki dla lalek, mała szafa i żelazko.

– Dlaczego nie bawisz się z koleżankami? – zapytała mnie pani Courteplaque.

Popatrzyłem na nią, nic nie mówiąc. Wtedy pani Courteplaque klasnęła w ręce i zawołała:

– Wiem, co zrobimy! Kółeczko! Ja będę grała na pianinie, a wy będziecie tańczyli!

Nie chciałem wcale tańczyć, ale pani Courteplaque wzięła mnie pod pachę i musiałem dać rękę Blandynie i Eudoksji. Ustawiliśmy się wszyscy w koło, pani Courteplaque zaczęła grać na pianinie tę swoją piosenkę, a my zaczęliśmy się kręcić. Pomyślałem sobie, że gdyby chłopaki mnie widziały, musiałbym zmienić szkołę!

W końcu ktoś zadzwonił do drzwi. Przyszła po mnie mama.

Okropnie się ucieszyłem na jej widok!

– Mikołajek jest słodki – powiedziała pani Courteplaque do mojej mamy. – Nigdy nie widziałam równie grzecznego chłopca. Jest może trochę nieśmiały, ale to na pewno najlepiej ułożony ze wszystkich moich małych gości!

Mama zrobiła trochę zdziwioną, ale zadowoloną minę. W domu usiadłem na fotelu, nic nie mówiąc. Kiedy przyszedł tata, spojrzał na mnie i zapytał mamy, co mi jest.

– Och, bardzo jestem z niego dumna – powiedziała mama. – Poszedł na urodziny do naszej małej sąsiadki. Był jedynym zaproszonym chłopcem. Pani Courteplaque powiedziała mi, że właśnie on jest najlepiej ułożony!

Tata podrapał się w brodę, zdjął mi z głowy tę szpiczastą czapkę, pogładził mnie po włosach, chusteczką starł brylantynę z ręki i zapytał, czy dobrze się bawiłem. Wtedy się rozpłakałem.

Tata roześmiał się, a wieczorem zabrał mnie na film z kowbojami, którzy bez przerwy się tłukli i strzelali z rewolweru jak opętani.